ŚWIATŁO

Rok V. Bytom G.-Sz., 1. Listopada 1891. **Nr. 11.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi raz na miesiąc 1-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi na poczcie lub w Eksp. „Katolika“ **1 m.** Zeszyt pojedyńczy kosztuje 35 fen. = 25 cent. — „ŚWIATŁO“ zapisane jest w liście pocztowej pod Nr. 81. (Zeitungs-Preisliste Nr. 81.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.



Ks. dr. Korum, biskup trewirski.

SPEŁNIONA WRÓŻBA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Po wietrznej i dżdżystej niedzieli, nastał słoneczny poniedziałek; chmury uciekły gdzieś na wschód, błękitne niebo rozpostarło się nad ziemią, a jasne promienie słońca złociły zamierające kwiaty jesienne i resztki liści na drzewach.

W zagrodzie Bartłomieja Skiby krzątano się od wczesnego ranka. Sołtys widząc, że się na śliczny zanosi dzionek, wyjechał w pole z czeladzią, zostawiając w domu jednę dziewkę, bo Kachna nie była bardzo robotna, a teraz musiała pielęgnować matkę, więc jeszcze mniej miała czasu. Sołtysianka jest to zgrabna, wysmukła, jak trzcina dziewczyna: włosy na głowie, jak żyto, a oczy błękitne, jak modraki; okrągła, drobna twarzyczka przypomina róże i lilie, a rączki i nóżki ma małe, jak dziecko. W tej chwili ubrana w ciemną spodniczkę, niebieski gorsecik i biały fartuszek, wychodzi ze spichlerza, niosąc pełną kobiałkę ziarna; na jej widok krzyk powstaje w całem podwórzu; gęsi, kaczki, kury biegną na wyścigi, wijąc się pod nogami dziewczęcia, a chmura gołębi wzlatuje nad jej głową, okręconą po kujawsku niebieską chusteczką. Kachna sypie zboże, nawołuje drób; goni za gołębiami, śmieje się, kręci na wszystkie strony, aż wysypawszy resztę ziarna, w podskokach pobiegła do domu. Na samym progu potrąciła dorodnego młodzieńca, który na widok Kachny pokręcił czarnego wąsa, wołając wesoło:

— Dzień dobry, Kachna! Jużeś to wstała?

— A, Antek! Co ty tu robisz? przecie jeszcze nie południe?

— Dla panny Kachny, toć to dopiero rano, ale dla wszystkich pracowitych ludzi, południe blisko. Mnie gospodarz wysłał naprzód z końmi, ale i reszty czeladzi ino patrzeć. Widzisz, jak to słońce wy...

— Cicho no — przerwała Kachna i nakrywszy dłonią oczy, jęła pilnie patrzeć ku drodze — co to za hałas i taka gromada dzieci. Antek, co się tam stało?

— Ady nic; Cyganie oto stanęli przed karczmą, Cyganki rozlazły się po wsi, więc dzieci za niemi ciągną.

— Co? Cyganie we wsi! — zakrzykła Kachna i klasnęła w ręce — to już muszą przyjść do nas, zażegnać matczyne zimno, mnie powróżyć. Ach! Boże! dowiem się jednej rzeczy, dowiem — i mówiąc ostatnie słowa, zarumieniła się, jak malina i twarz ukryła w dłoniach. Antek popatrzał na nią z uśmiechem a wreszcie rzekł:

— Jaki to z ciebie jeszcze dzieciak, Kachna! Wierzysz ty na doprawdy w te banialuki cygańskie?

Sołtysianka obraziła się, więc odparła z dąsem.:

— To tatuś też pewnie jeszcze dzieciak, bo też wierzy Cyganom.

Antek zmięszał się trochę, ale pomyślawszy chwilkę, odparł rezolutnie:

— Widzisz, sołtys to co innego; oni już są starzy, a dawniej to ludzie w takie rzeczy wierzyli; jak zaś człowiek do czego nawyknie za młodu, to mu się na starość trudno odzwyczaić. Ale dziś każdy, kto umie czytać, może się z książek dowiedzieć, że wszystkie wróżby, czary i zażegnywania, to wierutne głupstwo.

— Hm, hm, jakiś ty to mądry; to pewnie dla tego tak książki z Czytelni znosisz, żebyś mógł innych rozumu uczyć? — zawołała Kachna i pędem pobiegła na drogę.

— Gniewa się — mruknął Antek, a idąc do stajni, myślał — szkoda dziewczęcia, że takie rozpieszczone i roztrzepane, ale da Bóg z czasem będzie inaczej.

Miał racyą Antek, że sołtysowa Kachna była bardzo pieszczona przez rodziców, a mianowicie przez ojca, który świata za dziewczyną nie widział. I na złe dziecko byłaby wyrosła z pewnością, gdyby jej Pan Bóg nie był dał wielkiej dobroci serca i poczciwości, a matka nauczyła bojaźni Bożej i miłości bliźniego. Kochała też Kachna wszystkich ludzi serdecznie, a za rodzicami i bratem w ogień i w wodę byłaby poszła.

Nie lubiła ona też siedzieć z założonemi rękoma, ale, że jej ojciec pracować nie pozwolił, więc nie przyuczona a bardzo żywa i wesoła, nie mogła i pół godziny nad jedną robotą usiedzieć. Cały dzień pełno jej było w domu. w ogrodzie, podwórzu, ba! nawet na polu. W szkole uczyła się czytać i pisać, lecz jak tylko wyszła ze szkoły, nie zajrzała już do książki. Kachna wolała tańczyć, choćby sama po izbie i trawie, śpiewać, rwać kwiaty, wić korony, gonić się nawet z burkiem po drodze. Gdyby jednak matka lub ojciec byli jej powiedzieli: »Jeżeli nas kochasz, zaprzestań figli a weź się do pracy«, byłaby z pewnością, choć z wielkim trudem, wytrwała przy robocie, bo serce miała gotowe do poświęceń choćby największych. Cała wieś kochała Kachnę dla jej wesołości i dobroci, a chorzy i biedni głośno ją błogosławili. To też niejedno, coby innej dziewczynie za złe brano, sołtysiance uchodziło gładko.

— To takie dobre, wesołe i puste — mówili ludzie — ale też jeszcze młode; będzie starsza, to się ustatkuje.

Nikt się też nie zdziwił, gdy Kachna wybiegłszy na drogę, wraz z gromadką dzieci, podążyła ku karczmie.

Tam wokoło dużej bryki, krytej płótnem, zaprzężonej dwoma chudemi szkapami, stało kilku mężczyzn i kobiet; z woza wyglądały rozczochrane główki małych Cyganiąt.

Cyganki po większej części stare i brzydkie, ubrane w wypłowiałe i zniszczone suknie, przejmowały wstrętem. Szczególniej jedna stara baba, z dużemi przebiegłemi oczami, któremi świdrowała w twarzach otaczających ją, niemiłe sprawiała wrażenie. Gdy oczy Kachny spotkały się ze wzrokiem starej wiedźmy, aż drgnęła śmiała dziewczyna i przelękła się czegoś. Cyganka tymczasem zbliżyła się do niej i rzekła:

— Ja wam powróżę panienko, i może co dopomogę, bo chociaż ręki jeszcze nie widziałam, z ócz wam czytam, że macie wielki kłopot na sercu....

Kachna zarumieniła się lekko i odparła:

— Zgadliście; matka moja choruje już kilka niedziel.

Baba zamieniła szybkie spojrzenie ze stojącym obok Cyganem, którego widzieliśmy wczoraj w karczmie, i przerwała dziewczęciu:

— Ja nie zgaduję, ja wiem z pewnością i kto jesteście i co wam dolega.

— Doprawdy? — spytała Kachna i ciekawie przypatrywała się wróżce.

— Nie wierzycie? Więc wam powiem, że jesteście sołtysowa jedynaczka i że truje was, prawda, matczyna choroba, ale macie jeszcze jeden smutek, bo...

Kachna się znowu zarumieniła i przerwała szybko:

— Jeżeli umiecie poradzić na chorobę, to pójdźcie ze mną.

— Ja wam poradzę na chorobę, i wam powiem wszyśtko, co ino chcecie wiedzieć; ja stara wiele wiem i jak powróżę, tak się wszystko spełni.

Gdy domawiała ostatnich słów, nadszedł sołtys z czeladzią i zaprosiwszy wróżkę do siebie, zaczął się uskarżać.

— Baba mi chora już tyle czas, a leki nic nie pomagają; bo proszki, gorzkie jak truciznę, zapisał doktór, że ich moja nie mogła zażywać.

— Co tam doktór! on ino patrzy, żeby wziąść pieniądze i ludz truć. Ja waszej kobiecie zażegnam chorobę, bo to ze zazdrości przyszło; ludzie wam okrutnie zawiszczą...

— Takci jest, tak; a wierzcie mi, nie mają czego, chyba kłopotu. Wy umiecie wróżyć, to powiecie mi jak też wypadnie z tem, com sobie umyślił, bo to mam kłopot z dziewczyną...

— Ja wam wszystko przepówiem, bo wyście dobry człowiek, a macie wielu nieprzyjaciół a już najgorszy blisko was.

Sołtys strwożył się wielce i chciał pytać o owego strasznego nieprzyjaciela, lecz właśnie stanęli na podwórku, przed domem, otoczeni czeladzią i kilku kobietami, a Cyganka rzekła:

— Sołtysie, pozwólcie wy mnie pierw powróżyć tym wszystkim tu zebranym, a potem pójdziemy do chaty i wyżenę chorobę.

— Dobrze, dobrze — zawołał Skiba i przysunął się do baby, chcąc słyszeć, co powie.

Cyganka wróżyła wszystkim po kolei; najprzód zadała kilka zręcznych pytań tak, że nim zaczęła przepowiadać, wiedziała już z kim ma do czynienia; a tak jakoś znała doskonale mieszkańców Dąbrowy, jakby tu z nimi mieszkała. Ludzie dziwowali się okrutnie, bo nikt nie wiedział, że całe pół dnia i cały wieczór leżał Cygan za piecem w karczmie, gdzie się wszystkiego można było dowiedzieć.

Antek zbliżył się do sołtysa i z uśmiechem przysłuchiwał się wróżbom, aż gdy Cyganka zwróciła się do Kachny i wyciągając rękę spytała:

— A wam powróżyć zaraz, czy dopiero w chacie?

Antek krzyknął:

— Dla Boga! Kachna! przecie ty pokaż rozum i nie daj sobie pleść takich głupstw, tej przebiegłej babie, która wywiedziawszy się wpierw o wszystkiem, teraz oto...

Skiba rozgniewał się bardzo na Antka, więc wrzasnął ze złością:

— Patrzałbyś lepiej swojej roboty, nie wtrącał swoich trzech groszy do Kachny!

— Czym kiedy nie zrobił tego, coście mi rozkazali? — zawołał Antek i śmiało spojrzał w oczy swemu gospodarzowi — teraz południe, wszystka wasza czeladź tu stoi i słucha oto, co ta czarownica plecie, żeby pieniądze od głupich wyłudzić.

— Do miski — wrzasnął jeszcze gniewniej, a zwracając się do Cyganki dodał — wy też chodźcie się z nami posilić, a tam na tego nie uważajcie — i wskazał na Antka, który już wchodził do sieni.

Oczy Cyganki zaświeciły gniewem i nienawiścią, gdy patrzała za dzielnym parobczakiem, aż Kachna, która to spojrzenie wlot schwyciła, zadrżała. Wróżka zaś idąc, mruknęła:

— Zapłacisz mi za to, psi synu, zapłacisz.

Gdy po obiedzie czeladź poszła do roboty, a w izbie został sam Skiba z żoną i córką, Cyganka wzięła się do dzieła.

Obejrzawszy ze wszystkich stron chorą sołtyskę, wyniszczoną przez uporczywą febrę, nie leczoną dotąd, gdyż proszki zapisane przez doktora, jako bardzo gorzkie (zwyczajnie jakto chinina, najlepsze lekarstwo na febrę) poszły na śmieci, powiedziała wróżka, że choroba jest okrutnie ciężka, bo przez złośliwego człowieka nadana, więc trzeba się wziąść na wielkie sposoby, ale dopiero po zachodzie słońca.

— Już ja to choróbsko wyżenę — mówiła Cyganka — ale robotę będę miała ciężką, a wy musicie wszystko robić tak, jak powiem.

Wy tu musicie mieć blisko siebie wielkiego łotra co na wasze dobro nastaje, na to, co macie najmilszego, a macie takie dwie rzeczy...

— Słyszysz matka? — szepnął przerażony Skiba, a wróżka prawiła dalej:

— Temu złemu człowiekowi dobrzeby było, żeby się gospodyni zmarnowała, ale ja w tem, że wam nic nie będzie; wy wyzdrowiejecie ani się nie spodziejecie, jak i kiedy. Teraz dajcie wy sołtysie rękę.

Bartłomiej wyciągnął swoją dłoń wielką i spracowaną, a baba wpatrzywszy się w nią, odskoczyła, porwała się za głowę i krzykła:

— Rety, rety! To ten szelma, tak na was nastaje! Ten łotr obłudny, co udaje pracowitego, poczciwego, a wszystko na waszą i waszej pociechy zgubę. Ratujcie się przed tym człowiekiem, ratujcie, bo wam taką rzecz uczyni, że sobie włosy z głowy będziecie rwali!

Skiba pobladł jak trup i ciężko siadł na ławę.

— Powiedzcie mi jeno, kto to jest — szepnął ochrypłym głosem — to ja go... to ja mu...

Cyganka się wahała i popatrzała na sołtyskę i jej córkę. Bartłomiejowa nie wierzyła tak święcie, jak jej mąż w gusła i zababony, ale była przecie mocno przerażona; gdy tymczasem oczy Kachny, błyszczały wielkiem oburzeniem i ręce aż drżały z jakiejś niecierpliwości; a jeżeli milczała, to tylko przez wzgląd na ojca, który się bardzo gniewał, gdy wróżce nie wierzono; baba zmiarkowała, że trzeba być ostróżną, więc rzekła o wiele spokojniej:

— Widzisz sołtysie, tak zaraz człowieka nie można palcem pokazać, bo taki szelma ze złem trzyma...

— Ratujcie nas Anieli! — krzykła sołtyska, a wróżka prawiła dalej:

— Ze złem trzyma, więc się zaraz dowie, wykręci ze wszystkiego i jeszcze niewinnego oskarży. A wy sołtysie, jakbyście na niego natarli, to wam jeszcze prędzej złe sprowadzi. Wy się domyślicie, ino uważajcie na ludzi, a najbardziej na tych, co to dla niepoznaki pracują i o wasze dobro dbają; takich to najlepiej.... najdalej od siebie.... trzymać.... Wyście, sołtysie, mądry człek, to już zmiarkujecie, co potrzeba.

— Więc mówicie, że jak będzie daleko, to mi nic nie zrobi? — pytał Skiba.

— Dajcie mi jeszcze rękę — mówiła Cyganka — tak te dwie kreski się łączą, a ta przez nie przechodzi, tak, wielkie zmartwienie was spotka?

— A nie możecie tego odwrócić?

— No, ja będę wszystko robić; może razem z chorobą pójdzie precz nieszczęście, ale nie wiem; z chorobą prędzej poradzę, bo na waszą kobietę nie zawziął się tak, jak na was; gospodyni nie była mu tak krzywa, jak wy, sołtysie.

— Słyszysz matka? — szepnął Skiba a głośno spytał: — A jak mi się też powiedzie to, com sobie umyślił?

— Czekajcie ino, zaraz — rzekła wróżka i rękę sołtysa obróciła na drugą stronę — widzicie te kosteczki? siedzą pod skórą; ba! wasz nieprzyjaciel też siedzi przyczajony; wy go macie za dobrego a on w tem, czego najbardziej pragniecie, najwięcej wam przeszkadza.

— Nieszczęśliwy ja człowiek! Czy już nie ma na nic rady? gadajcie do kroćset — wrzasnął ze złością sołtys — bo mnie dja... biorą.

— Widzicie te kreseczki drobniuchne — mówiła prędko przestraszona Cyganka — one znaczą, że się wszystko może dobrze skończyć; że się wszystko na dobre obróci i w radość zamieni, a wy o wszystkiem zmartwieniu zapomnicie, to wszystko może być, ale ja muszę się wziąść na wielkie sposoby...

— To się weźcie, dobra kobieto — rzekł udobruchany sołtys i odetchnął głęboko — ja wam zapłaty nie pożałuję, dam talara, dam dwa, jak trzeba.

— Już wy się nie kłopoczcie, zdajcie wszystko na mnie; po zachodzie słońca zacznę się ze złem mocować; ale macie wy tu takie miejsca, które można dobrze zamknąć i nie wchodzić tam przez dwie noce i jeden dzień?

— Takie miejsce? a na co wam ono?

— Ano, ja tam wszystką złą moc i chorobę zamknę.

— Matka, jak myślisz, gdzieby to można złe zamknąć?

— Może w skrzynce?

— To za małe i ma dziurkę od klucza.

— Macie prawdę — rzekł sołtys — ale gdzie tu taki kąt znaleść? Wszędzie trzeba co dzień chodzić; chybaby w tej oto komorze, ma jedne tylko drzwi do naszej izby; ale że to tam mamy... co najlepsze przyodziewki...

— Już ja powiedziała, że wy mądry człowiek, ale teraz widzę, że macie więcej rozumu, jak ks. Proboszcz; w tej komorze będzie nalepiej.

— Ale, że to złe zamykać z dostatkiem...

— To nic nie szkodzi; ono będzie tak związane, że się nie ruszy, a komorze przybędzie.

— Jak tak mówicie, to dobrze.

— A jest dosyć duża ta komora i nie ma gdzie jakiej szpary?

— Zobaczcie sami.

— Pokażcie.

Sołtys otworzył drzwi do komory, a Cyganka stojąc na progu, obrzuciła bystrem spojrzeniem ściany; najdłużej oczy zatrzymała na oknie zamykającem się na haczyk i zasuwkę i na beczce pierza, stojącej w kącie; potem cofnęła się i rzekła:

— Teraz przygotujcie białą chustkę z czerwoną tasiemką; ja pójdę powiedzieć swoim, żeby za mną nie czekali, ale ruszyli naprzód; ja u was przenocuję a jutro do dnia ruszę za nimi.

— Zróbcie wszystko jak najlepiej, już ja wam talara nie pożałuję.

— A wy panienko nie dacie sobie wróżyć? — spytała Cyganka Kachny, ale dziewczę, co taką miało ochotę dowiedzieć się jednej rzeczy, jak mówiła do Antka, odparła teraz z dąsem:

— Cobyście mi tam wróżyli; ino matkę uzdrówcie a od tatusia odwróćcie nieszczęście, ja już nic nie chcę wiedzieć.

Cyganka popatrzała z niedowierzaniem na sołtysiankę i przyrzekłszy raz jeszcze stawić się o zachodzie słońca, poszła na wieś wróżyć i okłamywać ludzi.

III.

Po wyjściu Cyganki, gdy i Kachna znikła za drzwiami, podrapał się sołtys za uchem, stanął przed żoną i spytał:

— Jak ty matka miarkujesz, kto to nam stoi na zdradzie? Cyganka jakby palcem pokazała Antka?

— Bój się Boga człowieku, co ty też mówisz! Zaśby tam Antek miał duszę zaprzedać złemu, kiedy do kościoła i spowiedzi św. chodzi, w karczmie go świeć i rzetelnie pracuje.

— Tedy jak nie Antek, to kto?

— Zkąd ja mam wiedzieć? Cyganki, to niby okrutnie umieją wróżyć i wywróżą: śmierć, nieszczęście, chorobę lub co kogo dobrego ma spotkać, tak starzy ludzie powiadali; ale tej tu, to widzi mi się, bardzo źle z ócz patrzało.

— Więc jak nie Antek, to może który ze sąsiadów, albo nasz Piotr?

— Ten prędzej, i bez Boga żyje i często mówi, że mu o nasze dobro idzie.

— Ale widzisz matka, Piotr się Kachnie nie zaleca, nie udaje cnotliwego; mnie się jednak widzi, że to Antek; na teraz Cyganka złe zażegna, a jak Jędruś nasz wróci, Antek pójdzie precz; Kachna się ustatkuje, ożenimy ją z Maciosiem i wszystko się dobrze skończy, jak Cyganka mówiła.

— Daj to Boże — westchnęła sołtyska i dodała — idź ojciec na podwórze, ja sobie różaniec odmówię.

Po zachodzie słońca wszystka czeladź sołtysa, oprócz Antka, który nie chciał na gusła patrzeć, obstąpiła Cygankę, zabierając się do zażegnywania.

Najprzód tedy rozciągnęła sołtyskę na ziemi; nakryła ją białą chustką; po tem położyła na nią sporą kość, należącą niby kiedyś do sławnego rozbójnika, który tylko dzieciątka niewinne zabijał, na kość nasypała jakiegoś suchego zielska, mającego być dziewięciorakiem zielem, w noc świętojańską zbieranem; nareszcie obkreśliła chorą kredą, pluła sobie na ręce i wywijała niemi, nad pocącą się ze strachu sołtyską, jakby z kim walczyła; na koniec wydała głośny okrzyk, chustkę szybko zwinęła i pobiegła do komina, mrucząc jakieś wyrazy; ale chustki na ogień nie kładła, tylko ją nad płomieniem trzymała. Potem rozkazała chorą położyć na łóżko, klucz od komory nawlec na czerwoną tasiemkę, wszystkim zaś będącym w izbie trzymać się za ręce i patrzeć w ogień. Kiedy spełniono jej rozkazy, otworzyła komorę, a zamykając drzwi za sobą, rzekła:

— Teraz patrzcie na ogień a ja złe moce i chorobę związaną w chustce zamknę.

Skoro nie mogła już być widzianą, poskoczyła do kąta i chustkę rzuciła przy beczce z pierzem; następnie zwróciwszy się do okna, spuściła po cichu haczyk i zasuwkę; poczem szybko wybiegła do izby, drzwi za sobą zatrzaskując i na kłódkę zamknąwszy, klucz zawiesiła chorej na piersiach.

— Teraz wszyscy spać i na dwór się nie pokazywać — rzekła do zgromadzonych — bo źle może być z tym, coby się koło domu kręcił.

W pół godziny później wszyscy już spali w Bartłomiejowej zagrodzie.

Około północy obudziło sołtyskę szczekanie psa w podwórzu.

— Stary, słyszysz? — zaczęła wołać na męża — coś się stało, bo burek okrutnie ujada. Wyjdź ino na dwór, czy czasem nie złodzieje.

— Na dwór! o ciemku, co ci w głowie kobieto? i jeszcze dziś!

Cyganka, której posłano pod piecem, obudziła się także i spytała:

— Co się to stało? Coś mówicie o złodziejach.

— Burek kogoś napastuje, może złodzieje.

— A macie pozamykane wszystko?

— Zaśbym na noc zostawił, co otwarte! Sam zamykałem razem z Antkiem.

— To się niczego nie bójcie; choćby się złodziej kręcił koło domu to dobrze dla was, bo go choroba może napaść i do was już nie wróci. Opowiem wam, jak to raz złodziej zamiast konia, ukradł zarazę, jaka na bydło panowała.

Tu bardzo głośno zaczęła Cyganka opowiadać jakoś długą historyą, której oboje małżonkowie ciekawie słuchali. Tymczasem burek przestał szczekać i nastała cisza, bo i Cyganka skończyła swają opowieść.

Ledwo na niebie zaczęło świtać zbudził sołtysa blask ognia na kominku; Cyganka rozpaliła go sama, bo pilno jej było spalić związaną w chustce chorobę. Wzięła więc klucz od sołtyski, przyniósło z komory chustkę i razem ze wszystkiem, co w niej było spaliła. Komorę zaś zamknąwszy prędko, klucz znowu zawiesiła na szyji chorej, przykazując nie zdejmować go aż na drugi dzień. Następnie nie chcąc czekać na śniadanie, wzięła wróżka od sołtysa dwa talary za zażegnywanie i wróżby, a życząc całemu domowi szczęścia, opuściła chatę.

Skiba cały dzień przypatrywał się pilnie swoim parobkom, ale nic nadzwyczajnego nie spostrzegł, chyba to, że Piotr poszedł wieczorem do karczmy i spił się tak, że dopiero nad ranem powrócił do domu.

Sołtyska w ten dzień nie miała febry, więc Bartłomiej uspokoił się zupełnie i wierzył święcie, że za jego dwa talary, wszystko złe zostało odżegnane.

(Dokończenie nastąpi).

ŚPIĄCY RYCERZE.

LEGENDA ŚLĄSKA.

Nad starą Odrą, przez Śląskie pola,
Z rozwianym włosem bieży niedola.
A za nią w tropy z groźnymi krzyki,
Wpada szarańczą Tatarzyn dziki.
Głucho zabrzmiało bluźniercze »Ałła!«
Krwawemi strugi ziemia skraśniała;
W tumanach pyłu, już pod Trzebnicą
Złote na słońcu księżyce świecą.
Kruków krwi-chciwych garną się stada,
A lud zajęknął: »Biadaż nam, biada!«

O! zapłacz, ludu! dzień wszedł ci krwawo!
Tatarzyn srogieć narzuca prawo,
Ostrzem bułata dziki morderca,
Wiarę chce tobie wypruć z pod serca,
Którąś po wiecznym ojców zakonie,
Z mlekiem zaczerpnął w matczynem łonie.
A te nad grobem wieżyce święte,
Niewiasty Bożej ręką dźwignięte,*)
Co twej dziedziny strzegą z wysoka,
Rychło zamieni w meczet proroka!

Gdzie wiara w sercu, niema tam trwogi:
Pod starym grodem zawrzał bój srogi,
Dziesięćkroć większa moc Tatarzyna,
Od kopyt końskich jękła dolina;
Huk, łoskot, wrzawa, krew strugą ciecze,
Głucho szczękają miecze o miecze;
Walą się z koni bez głów tułowy,
Kwilą puszczyki hymn pogrzebowy;
Kogo nie dobił oręż zbyt tępy,
Ostrzą nań szpony kruki i sępy.

Póki mu serce w piersi nie skrzepło,
Krzywemi dzioby piją krew ciepłą.
»Ałła!« grzmią głosy pogańskiej czerni;
»Bogarodzico!« wołają wierni.
Lecz nim na niebie słońce zagasło,
Zamilkło głośne walczących hasło.
Coraz na polu ciszej i ciszej,
Czasem jęk tylko ucho zasłyszy,
Co się z krwawego dobywa łona:
To hetman wiernych w boleści kona.

Legli wrogowie, legł hufiec bratni,
On sam pozostał... z wiernych ostatni!
Mrok padł na ziemię, zlany krwi strugą,
W śmiertelnej walce wódz przetrwał długo,

*) Św. Jadwiga, małżonka Henryka Brodatego książęcia na Śląsku, zbudowała klasztor w Trzebnicy.

Skreślił znak krzyża... oko mgłą śćmione,
Z wiarą obrócił w klasztoru stronę.
Patrzy! i ujrzał... wzrok-że go myli?...
Zstępuje obłok z nieba w tej chwili,
Jak srebrna łódka z złotemi wiosły,
W niej aniołowie, niebieskie posły.

Wraz potrącają łzawo i smutnie,
Jakby na hasło drżące swe lutnie.
I pieśń po rosie cudna zabrzmiała,
A klasztor odbrzmiał: »Chwała — o! chwała!«
Łuna ogarnia wspaniałe mury,
I cudna postać biegnie do góry
W bieluchnej szacie, w wieńcu z promieni,
Gdzie dźwięk ją woła Anielskich pieni.
Cała tonąca w światła powodzi;
Cicho wstępuje święta do łodzi.

Przez mlecznej drogi smug promienisty,
Do stóp Dziewicy płynie przeczystej.
A widząc wierną Jadwigę swoję,
Marya rozwarła niebios podwoje,
Błysła obliczem błogosławiona,
Cudne piastując dziecię u łona.
Anioły chylą pokornie głowy,
Przed majestatem niebios Królowej;
Na blask, co z oka dziecięcy pała,
Jak liść osiny święta zadrżała.

Korzy głęboko czoło zwieńczone:
»Bogarodzico!« pod Twą obronę
»Tych męczenników oddaję« — rzecze
»Co dziś w Twe imię stępili miecze!
Ty ich z śmiertelnej wyrwij omroczy,
Niech sen im słodki spłynie na oczy.
Pan tchnął w ich ramię siłę olbrzymią,
Niechże w jaskini Trzebnickiej drzymią;
Niech wódz sam jeden czuwa na straży.
A gdy poganin cześć Twą znieważy,

Wtedy w klasztorny spiż niech zadzwoni,
A dzielne druhy wstaną do broni!...
Gdyby w tych piersiach ognisko zgasło,
Ktoby przechował odwieczne hasło?
Ktoby żelazną dźwignął prawicą
Krzyż Twego Syna, Bogarodzico!
O! dozwól, Pani! pod skrzydły memi,
Twoi obrońcy niech drzemią w ziemi.
Aż gdy godzinę zegar uderzy,
Kiedy dzwon jęknie z Trzebnickiej wieży,

Wtedy ci wierni — z wodzem na czele,
Ze snu się wzbudzą Twoi mściciele,
I z mieczem, twardą okuci zbroją,
Zmogą niewiernych pod tarczą Twoją!«
Pełne miłości Jadwigi słowa,
Wzięła do serca niebios Królowa,
Dzieciątko dłonie wyciągło obie,
Skinęła Marya i w tejże dobie,
Maleńka łódka olbrzymio wzrosła,
Chóry aniołów ujęły wiosła.

I wśród powietrznej żeglugi fali
A jasna łuna pół niebios pali,
W około świętej te duchy płyną,
Co krew ich Śląska płynie doliną;
Smutnoż z jasnego Królowej dworu,
Wracać im w czarne lochy klasztoru,
I znów oblekać to nędzne ciało,
Które szponami ptastwo zszarpało;
Lecz te skąpane w wieczności duchy
Wracają pełne Boskiej otuchy.

Bo im nietajna mądrość wysoka,
Wiedzą, że wieki — to mgnienie oka!
A gdy dobiegła łódka do ziemi,
Roje Aniołów z skrzydły śnieżnemi.
Owiane srebrnej łuny odbłyskiem,
Krążą nad głuchem pobojowiskiem.
A chociaż stąpną w krwi mętne strugi,
Krew się nie ima ich szaty długiej.
Tulą Anioły w piór swych osłonę
Dusze, przez Pana w straż im zwierzone.

Na głos ich krucze zbiegają stada,
Ptastwo łup krwawy z pokorą składa,
To jedno w wiecznej chowa zdobyczy,
Co na pogańskiej zgrabiło dziczy.
Duch każdy ciało, jak szatę, bierze,
Milcząc powstają z ziemi rycerze,
W koło okuci twardem żelazem;
Bo każdy z ciałem zbroję wdział razem,
Z boku im szczęka oręż ze stali...
Wódz patrzy — słucha — żar nowy pali.

Krew jego męzka, dzielną znów siłą
Życie w hetmana piersi roztliło —
Jedno prawica bezwładna jeszcze;
Wszakże przeczucie szepce mu wieszcze,
Że pokąd serce wiarą uderza,
Bóg moc powróci dłoni rycerza.
Błogą otuchą wzrok wodza płonie,
Spojrzy — a księżna w srebrnej zasłonie,
Jakby jutrzenka wśród nocnych cieni,
Spływa ku niemu w wieńcu z promieni.

»Zawitaj, święta małżonko Piasta!«
Rzeknie z zapałem: Boża niewiasta,
Podnosi dłonie: »Wodzu!« zawoła,
»Z bark proch otrząśnij! znój otrzyj z czoła!
Siła do morza ubiegnie wody,
Nim na niebieskie wystąpisz gody,
Dalej-że za mną, hetmanie stary!
Ujmij prawicą chorągiew wiary,
W bezpieczną ustroń wraz ja powiodę
Ciebie i twoje rycerstwo młode.

Niech wierni prześpią wieki w omroczy,
Marya sen słodki śle im na oczy.
Ty, jej hetmanie, czujną bądź strażą,
A gdy bluźnierce cześć Jej znieważą,
Kiedy wyrodni w godzinę sromu
Wstrząsną posady Bożego domu,
Bij w dzwon odwieczny, niech jękną spiże,
Niechaj rycerstwo pochwyci krzyże!
Gdy serc ofiarnych zbraknie na ziemi,
Niech ci ocknieni pod znaki twemi

Wzrósłszy ku niebu — jak dęby w puszczy,
Wstrzymają pochód zuchwałej tłuszczy!«
Zerwał się hetman, krzepki jak młodzian,
Cały w hartowaną zbroję przyodzian;
Płomień młodzieńczy skrasił mu lica,
I zagrzmiał piersią: »Boga-Rodzica.«
Na znane hasło poczet rycerzy,
Jak rój za matką, w ślad wodza bieży,
A hetman drogę przemienną ściga,
Co przed nim stopą znaczy Jadwiga.

W srebrnym obłoku — jasna jak zorza,
Wiedzie swych wiernych niewiasta Boża,
A gdy stanęła u stóp pieczary,
»Za mną, rycerze!« zagrzmi wódz stary,
I jako wiernym w niebie sądzono,
Matki ich, ziemi, pochłania łono.
I głucho — cicho — w Piasta dziedzinie,
W bojowem polu krew strugą płynie,
Z sępami krucy pełni swobody,
Z trupów Tatarskich sprawują gody.

A z klasztornego głębi sklepienia
Kwilą im sowy biesiadne pienia.
Gore widnokrąg śrebrzystą łuną
A w jasnej łodzi Anieli suną,
Po mlecznej drodze — prosto w niebiosa,
A sennej ziemi przynosi rosa,
Co raz to ciszej, co raz to smutniej,
Milknące dźwięki Anielskich lutni,
Płyną a płyną za dniami dnie,
Legli rycerze w wiekowym śnie.

A nad sennemi hetman ich sam,
Straż u pieczary piastuje bram.
Z brody mu spływa gołębi włos,
Usty powtarza różaniec w głos,
Czasem mu oko zabieży mgłą,
Jakby z tęsknoty serce mu schło.
Rychłoż on w dźwięczny uderzy spiż
I Chrystusowy podejmie krzyż?
Rychłoż wyrośnie jak w puszczy dąb,
Podeprzeć domu Bożego wzrąb?
Wiernym rycerzom sen, niebios dar,
Rój czarodziejskich przesuwa mar;
Lecz w wiekuistą czuwania noc.
Cóż tak hetmana pokrzepia moc?

Co w oderwaniu od ziemskich dróg
Słodzi mu żywot? Wie tylko Bóg!
On! co wytrwałym nadzieję śle,
Jak cichą gwiazdę na niebios tle.

Czeka więc hetman, bo ufa on,
Że kiedyś głuchy uderzy dzwon,
I ostateczny spłacając dług,
Wykrzyknie hasło: »Wiara i Bóg.«

Seweryna Duchińska.

O św. sukni Pana Jezusa w Trewirze.

(Z rycinami: **św. sukni, kościoła katedralnego w Trewirze i Najprz. ks. biskupa trewirskiego.**)

W nr. 6 »Światła« podaliśmy krótką wiadomość o św. relikwii trewirskiej wraz z opisem, jak ją uczczono w roku 1512, gdy po raz pierwszy na widok publiczny wystawioną została. Z gazet codziennych wiedzą nasi szy pożyteczną, zobaczywszy choć na obrazku tak wielką relikwię św., wzmocnić się w wierze i zapalić w miłości do Jezusa.

Najdawniejsze wiadomości o Sukni Pana Jezusa znajdują się w ewangeliach. U św.



Czytelnicy, że w tym roku wystawioną była św. suknia od 20-go Sierpnia do 4-go Października i że w tym czasie odwiedziło ją 1,925,130 pielgrzymów. O uroczystościach trewirskich pisano przez 6 tygodni wystawienia bardzo wiele, więc o tem w »Świetle« nie piszemy. Natomiast podajemy dłuższą wiadomość o św. sukni samej, umieszczając jej podobiznę, oraz ryciny, przedstawiające katedrę trewirską, gdzie wystawioną była i Najprzew. Ks. dr. Korum, obecnego biskupa trewirskiego. Sądzimy, iż miłą dla katolickiego ludu będzie rzeczą, posiadać w opisie i obrazkach pamiątkę tegorocznej pielgrzymki a także rzeczą dla du-

Mateusza, ewangelisty czytamy: »A oto niewiasta, która krwiotok przez dwanaście lat cierpiała, przystąpiła z tyłu i dotknęła się kraju s z a t y jego. Bo mówiła sama w sobie: Bych się tylko dotknęła szaty jego, będę zdrowa. A Jezus, obróciwszy się i ujrzawszy ją rzekł: Ufaj córko, wiara twoja cię uzdrowiła. I uzdrowiona jest niewiasta od onej godziny.« Gdy Zbawiciel przy przemienieniu na górze Tabor, uczniów swoich w wierze utwierdzał, wspomina ewangelia św. Mateusza o szacie temi słowy: »A oblicze jego jaśniało jako słońce, a s z a t y jego stały się białe, jak śnieg.«

O szatach Pana Jezusa jest też mowa,

gdy Go biczowano i koronę cierniową na głowę Mu wkładano, a wreszcie gdy Go krzyżowano. Najdłuższą wzmiankę mieści w sobie ewangelia św. Jana, w rozdziale 17. Tam napisano: »Żołnierze tedy, gdy go ukrzyżowali, wzięli szaty jego (i uczynili cztery części, każdemu żołnierzowi część) i s u k n i ę. A była suknia nie szyta, od wierzchu cała dziana. Mówili tedy jeden do drugiego: Nie krajmy jej, ale rzućmy o nię losy, czyja ma być. Iżby się pismo wypełniło, mówiące: Podzielili sobie szaty moje Jezusa losy rzucali. Powróciwszy z pielgrzymki, umieściła św. krzyż w Rzymie, część krzyża św. w Konstantynopolu, a do Trewiru, gdzie wówczas św. Agritius był biskupem, przesłała św. suknię, jeden z świętych gwoździ i kawałek krzyża. Długie wieki nie było słychać nic o św. sukni w Trewirze i nic w tem dziwnego, bo owe czasy były bardzo burzliwe i niespokojne. Dopiero z 9-go wieku znów dochodzi wiadomość o św. sukni, a mianowicie wspomina o niej pewien zakonnik, który życie św. Heleny opi-



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W TREWIRZE.

a o suknię moję rzuci los. A żołnierze to uczynili.« Pierwsi chrześcianie starali się oczywiście bardzo pilnie o nabycie szat Pana Jezusa i przechowywali je skrzętnie. Nie wiadomo, jak i gdzie św. suknię w pierwszych wiekach przechowywano. Św. Helena, cesarzowa, gdy w roku 326 pielgrzymkę do grobu Zbawiciela odprawiła, znalazła św. krzyż, który był zagrzebany na górze Kalwaryjskiej, a z nim razem także i gwoździe, któremi Pana Jezusa na krzyżu przybito. Zdołała także nabyć św. suknię, o którą żołnierze po ukrzyżowaniu P. sał. W roku 1196 przeniesiono skrzynkę, w której św. suknię przechowywano do wielkiego ołtarza. Było to za arcybiskupa Jana. Od tego czasu znowu długie lata nic w dziejach o św. sukni nie słychać. Dopiero 1512 roku, na prośbę cesarza Maksymiliana, postanowił ówczesny arcybiskup Ryszard św. suknię wydobyć z ukrycia i wystawić na widok publiczny. Opis wspaniałej owej uroczystości znajduje się w nr. 6 »Swiatła.«

Po tym czasie wystawiono św. suknię kilkakrotnie. Nadzwyczajnie uroczyste wystawie-

nie było za arcybiskupa Karola Kaspra w roku 1655, po ukończeniu 30-letniej wojny. Z powodu wojen nie można było w następujących latach św. sukienki wystawić. Kilka razy nawet trzeba było unosić ją w bezpieczne miejsce; dość długi czas znajdowała się w twierdzy Ehrenbreitstein. Wszędzie i zawsze jednak była w wielkiej czci. Arcybiskup Franciszek Ludwik kazał dla św. sukni nową, bardzo piękną skrzynkę zrobić. W roku 1793 wywiózł arcybiskup Klemens Wacław św. suknię z Trewiru do Bambergu, gdzie pozostała do roku 1801. Wtedy przeniesiono ją do Augsburga. Biskupowi trewirskiemu Karolowi Mannay udało się w roku 1810 św. suknię na nowo dla Trewiru uzyskać. Od 6-go do 27-go Września tegoż roku wystawiono ją na widok publiczny; wówczas odwiedziło ją 250 tysięcy pielgrzymów. Po 34 latach, w roku 1844, wystawiono ją znowu; wtedy przybyło przeszło milion pielgrzymów. W bieżącym roku zaś dosięgła liczba pielgrzymów prawie 2 milionów.

Z pomiędzy licznych cudów, jakie się przed świętą suknię zdarzyły, podajemy jeden z roku 1844, a drugi z roku 1891.

Dziewiętnastoletnia hrabianka Joanna Droste Vischering, zachorowała w Październiku roku 1841. Prawa noga tak jej zesłabła, że nie mogła na nią wcale stąpić. Na wiosnę następnego roku uczuła taki sam ból w lewej nodze i wkrótce nie była zdolna chodzić. W lecie roku 1842 pojechała hrabianka do kąpieli, skutkiem czego stan lewej nogi się polepszył, ale stan prawej się pogorszył. Kolano napuchło i muszkuły tak się pościągały, że nogi nie szło wyprostować. Hrabianka mogła więc tylko na krukwiach chodzić, a jeszcze ją przy tem podpierać było trzeba. W następnych latach leczyła się znowu u wód, ale bez skutku. W Sierpniu roku 1844, będąc u wód w Kreuznach, dowiedziała się o wystawieniu św. sukni i natychmiast obudziła się w niej nadzieja, że gdyby się dotknęła kraju św. sukni, wyzdrowioną zostanie. Odprawiwszy spowiedź i przyjąwszy komunią św., udała się w towarzystwie babki swej i trzech służących do Trewiru. Ówczesny biskup udzielił na prośbę jej babki pozwolenia, aby chora św. sukni dotknąć się mogła. Nazajutrz udała się tedy hrabianka do kościoła katedralnego, opierając się na krukwiach; po obu bokach podpierały ją dwie panie. Gdy się zbliżyła do św. sukni, stanęła i płacząc modliła się przez krótką chwilę. Naraz odrzuciła krukwie, powiedziała kilka słów do stojącej obok siebie babki i upadła, w głos płacząc, na kolana, czego dawniej uczynić nie mogła. Potem wstąpiła po kilku stopniach aż do św. sukni i ukląkłszy i głowę i ręce na św. sukni złożywszy, zaczęła się modlić. Był przy tem wszystkim obecny także biskup sufragan trewirski, ks. Müller i kanonik ks. Wilmowski. Po kilku minutach podniosła się sama, bez obcej pomocy, na nogi, i podawszy rękę babce swojej, zeszła ze wschodów. Służący niósł za nią krukwie. Odtąd mogła chodzić.

O cudzie, który się zdarzył w roku bieżącym, piszą:

Niejaka Magdalena Weinachter, 34 lat licząca, chorowała od 8 lat. Stan jej zdrowia stał się w ostatnich czasach gorszym tak, że zaledwie z wielkim mozołem chodzić mogła. Nakoniec i na to sił jej nie starczyło i trzeba ją było prowadzić a raczej nieść, gdy do kościoła udać się chciała. Wreszcie stężała jej lewa noga i lewa ręka zupełnie, a w prawej nodze i ręce czuła boleści, które wskazywały, że i ta strona ciała bezwładną się stanie. Chora nie mogła już wcale stać i musiała ciągle leżeć w łóżku, pielęgnowana jak dziecko, bo nieraz nawet tyle siły nie miała, aby sobie sama pokarm podać mogła. Nogi jej się skrzywiły, a gdy kto dotknął jej ciała, czuła zaraz srogi ból. Z powodu ciągłego leżenia, utworzyły się na plecach dwie rany, ciągle się jątrzące.

Gdy żaden lekarz dopomódz jej nie mógł, postanowiła udać się do Trewiru, aby przed sukienką Pana Jezusa błagać o zdrowie. 28-go Września przybyła tamdotąd, przyniesiona na noszach. Podróż tak ją zmęczyła, że leżała całkiem bezwładna, wskutek czego zaopatrzono ją św. Sakramentami, bo sądzono, że każdej chwili zemrze. Ze względu na słabość jej, wpuszczono ją zaraz do tumu i tam dotknęła się po dwa razy św. Sukienki. Następnie odniesiono ją do klasztoru Sióstr Miłosierdzia.

Noc nadeszła, ale chora z bólu i wzruszenia usnąć nie mogła. Po północy usłyszała trzask, jakby kto kawał drzewa o kolano złamał i w tym samym momencie wyprostowała lewą nogę, która od 5 lat stężałą i krzywą była. Rano, gdy przyjaciółki do izby weszły, zawołała: Podnieście mnie coprędzej! Życzeniu jej stało się zadość i wsparta na przyjaciółce, mogła kilka kroków postąpić. Następnie jednak pogorszyło się znowu.

Zaniesiono ją tedy po raz drugi do tumu, przed św. Sukienkę. I tam nagle została uzdrowioną, przed oczami licznie zebranych wiernych; powstała sama, chodziła po kościele i wreszcie udała się do biskupa, który nakazał Siostrom Miłosierdzia, aby ją zbadały. Przekonano się, że jest zdrowa a rany na plecach zagajone. Nosze odesłano koleją do domu, a ona pojechała razem z przyjaciołkami.

Wieść o tem uzdrowieniu rozeszła się wnet po okolicy i wielu ludzi przybyło, aby się naocznie przekonać. Lekarz dr. Weinberg zrewidował ją i oświadczył, że wprawdzie jeszcze nieco kuleje, ale dawniej ruszyć się nie mogła; palce u ręki nie są jeszcze wprawdzie całkiem proste, ale może nimi poruszać. Rany, jątrzące się dawniej, są zagajone; nie ma nawet żadnej blizny ani znaku po nich. »To cud« oświadczył lekarz, bo sparaliżowana i bezwładna poszła do Trewiru, a w dzień potem wróciła zdrowa.

Swięta suknia jest z przodu 1,48 m., a z tyłu 1,57 m. długa; u góry 70 centymetrów, u dołu 1,09 m. szeroka; Rękawy są 46 centymetrów długie, 21 centymetrów szerokie. Ta miara zgadza się z miarą szat, jakie mieszkańcy Palestyny w owych czasach nosili. Była to suknia wierzchnia. Gdy ją na siebie wdziano, przepasywano się jeszcze pasem; przy pracy podciągano ją nieco, a wtedy tworzyły się wyżej pasa fałdy, które zastępowały dzisiejsze kieszenie.

Święta suknia jest z płótna lub bawełny, bez żadnych wzorów. Na przedniej części sukni św. znajdowały się dawniej upiększenia z jedwabiu, przedstawiające złote lub fioletowe paski a nawet figury ptaków. Z tych ozdób pozostało bardzo mało.

Od szyi ciągną się ku dołowi dłuższe i krótsze jedwabne paseczki; są one naszyte na św. suknię i stanowią fałdy górnej części sukni. Na kraju widać także paseczki; naszyto je różnymi czasy, aby się szata św. nie darła. Suknia święta jest koloru jasno-brunatnego.

Przednia jej część jest więcej zniszczona, aniżeli tylna a to dla tego, ponieważ przy wystawieniu tylukrotnem wierni właśnie o przednią część różańce, szkaplerze i tym podobne przedmioty pocierali. Relikwia św. jest otulona delikatną, jedwabną, przejrzystą powłoką.

Ażeby ją od zniszczenia zachować, podszyto wewnątrz pod św. suknię, inną szatę z jedwabiu; ta była dawniej koloru fioletowego lub ciemno-zielonego. W tych miejscach, gdzie św. suknia jest nadpsuta, widać owo podszycie.

Obecny biskup trewirski kazał nowe podszycie z brunatnego jedwabiu zrobić.

Dotąd przechowywano św. suknię w zamurowaniu w wielkim ołtarzu. Odtąd będą ją przechowywać w skarbcu kościelnym.

K a t e d r a t r e w i r s k a (ob. rycinę na str. 329) zawdzięcza swoje powstanie św. Helenie, która, jak się zdaje, tu się urodziła, i w 65 roku życia ochrzconą została. Podarowała ona biskupowi św. Agritiusowi pałac cesarski z poleceniem, aby go na kościół zamienił. Pomimo, iż w ciągu wieków katedra ta kilkakrotnemu uległa zniszczeniu i zmianom, główne mury pochodzą z owego cesarskiego pałacu. Najgorzej zniszczyli ją Francuzi w roku 1575, używając jej przez kilka miesięcy jako stajnię dla koni wojskowych, a później ją na twierdzą zamieniwszy. Następnie zamieniono ją znowu na kościół i odnowiono.

Co do wielkości i wspaniałości jestto kościół, jak rzadko gdzie się znajdzie. Pełno też w nim pięknych rzeźb, ołtarzy i ozdób oraz relikwii Świętych, jak św. Materna, pierwszego apostoła w tych stronach; części relikwii świętej św. Macieja apostoła i św. Heleny, św. Anny, św. Barbary. Oprócz tych znajdują się tu także: jeden z gwoździ, którymi Chrystusa na krzyżu przybito, kawałek z św. krzyża, dwa ogniwa z łańcucha św. Piotra i wiele innych.

Oprócz wizerunku św. sukni i kościoła katedralnego w Trewirze, podajemy jeszcze obraz obecnego biskupa trewirskiego, Najprz. ks. dr. Korum. Tenże ksiądz biskup powiedział na zakończenie uroczystości tegorocznych w Trewirze kazanie, z którego przytaczamy, co następuje:

.... Słyszeliśmy, jak się pewne głosy podnosiły, mówiące, iż niedługo, a lud przestanie mieć nadzieję dostania się do nieba, i tylko na ziemi będzie szukał szczęścia i radości. Słyszeliśmy, jak z pewnych wysokich szkół rozchodził się głos, że duch, nie wierzący w cuda, nie uznający prawd wiary św. wnet zwycięży i nie pozwoli się prowadzić na pasku przez wiarę św. Tośmy słyszeli — a owi ludzie, co tak wołali lub myśleli, muszą przyznać, że się omylili. Już przed stu laty głosili filozofowie, w nic nie wierzący, że chwila tryumfu, w której wiara św. zniszczoną zostanie, nadeszła. Sto lat przeszło a wiara Chrystusowa odniosła w tym czasie tyle tryumfów, jak prawie nigdy w dawnych latach. Zaiste! Wiara święta stoi mocno! To napełnia nas wielką radością. Przed wiekami zawołał pewien cesarz pogański, gdy mu się nie udało, zniszczyć chrześciaństwa: »Galilejczyku, zwyciężyłeś!« I my możemy tak samo zawołać, bo Zbawiciel nasz zwyciężył. Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat! Chrystus zwycięża, Chrystus rządzi, Chrystus panuje!....

Wiem o tem, że są ludzie, których Bóg na to przeznaczył, ażeby innymi kierowali. Ale moc ich nie sięga dalej, jak do granicy ich kraju, a nawet mogę powiedzieć, nie dalej, jak ich rozkazy sięgają, ich wojsko, ich zbrojna siła. Ci mocarze muszą się wstrzymać przed ludzkim duchem, nie mogą sięgnąć do serca ludzkiego; dla tego moc ich słaba, krótko trwająca. Ponad wszystkimi mocarzami stoi król królów, pan władzców, Jezus Chrystus a Jego siła nie zatrzyma się przed ludzkim duchem, lecz wniknie głęboko w niego, wniknie w piersi ludzi. To czyni Pan; uczynił to w ostatnich dniach...

... Zarzucono nam bałwochwalstwo. Wy (zgromadzeni) wiecie dobrze, w co my wierzymy; wiecie, że my nie czcimy sukni, lecz padając przed nią na kolana, czcimy Jezusa, który się stał człowiekiem, a którego nam ta szata przypomina. Wierzymy też, że z tej sukni tchnie ku nam wyższa siła, jak wówczas, gdy Zbawiciel jeszcze po ziemi chodził...

Ongi powiedział boski Mistrz w godzinie bolesnego uczucia do uczniów swoich: Gdy syn człowieczy znowu przyjdzie, czy znajdzie wiarę? Gdyby pytanie to w naszych czasach stawił, to odpowiedź by brzmiała: »Tak jest; znajdziesz wiarę!« Bo czyż to nie żywa wiara, gdy liczne tysiące tudotąd przybywają, ażeby Chrystusowi cześć oddać? Gdym przed kilku tygodniami rzeszę robotników do św. sukni

wiódł, śpiewano skargę Jeremiasza, proroka: »O ludu mój, ludu mój, cóżem ci uczynił? Przeprowadziłem cię przez środek pustyni; otworzyłem źródła, które pragnienie twoje ukoiły, a w godzinie słabości mojej podałeś mi octu i żółci?« Zdawało mi się, że Zbawiciel otworzył swoje ramiona i chciałem odpowiedzieć: »O Zbawicielu, oni nie chcą już błądzić po pustyni, nie chcą już pić żrącego napoju niewiary. O Panie, patrz, my stoimy w skrusze i pokorze... O Boże, gdy przyjdziesz, znajdziesz silną, potężną wiarę; znajdziesz lud, Tobie wierny, Tobie, któryś go swoją krwią odkupił«...

Zbawiciel wołał niegdyś: »Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście utrapieni i obciążeni są a ja was ochłodzę!« I do nas powiedział te słowa i lud wierny zrozumiał je i przyjął do serca, bo przyszedł zewsząd do tego, który go może pokrzepić i pocieszyć...

Uczucie radości, wdzięczności i nadziei napełnia nasze serca przy końcu tej wspaniałej uroczystości, tego podniosłego wyznania wiary i miłości Jezusa. I dla tego wołam tak samo, jak mój poprzednik na stolicy biskupiej w roku 1844: Panie, Boże ojców naszych, racz zachować mojemu ludowi wiarę; spraw, aby serca wszystkich do Ciebie dążyły!«...

O STARYCH SŁOWIANACH.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Zatrudnienia Słowian.

Rólnictwo. Odkąd znani są Słowianie, wszędzie występują jako naród rolniczy. Wrodzona skłonność do spokojnego życia przywiązywała ich do posiadanej ziemi jako żywicielki; zajmowali się więc głównie uprawą roli w połączeniu z hodowlą bydła. Świadczą o tem wszystkie ich uroczystości i obrzędy starodawne, zastósowane jedynie do zatrudnień rólniczych. Świadczą także już najdawniejsi pisarze greccy, że Słowianie posiadali dostatek zboża i mnóstwo bydła; znali się na pszczelarstwie; wychwalano też szczególniej konie Wendów adryjatyckich. Jak Grecy *sitos*, tak Słowianie mieli wspólny wyraz *żyto* (od słowa *żyć*) dla oznaczenia zboża w ogóle. Uprawiali zaś w szczególności proso, reż (po dzisiejszemu: żyto) i pszenicę. W późniejszych wiekach u północnych Słowian misyonarze chrześciańscy z podziwieniem patrzyli na ich pola okryte plonami rozmaitego zboża, i na sady, w których, jak sami się wyrażali, prócz fig i winogron znajdowali wszelkie owoce, jak w ziemi włoskiej. Stwierdzają to pisarze życia św. Ottona. Byli ci misyonarze z Niemiec, i ztąd można wnosić, że tego wszystkiego u Niemców nie widzieli. — Niemcy przyzwyczaili się później do rolnictwa, i nauczyli się go od Słowian; czego dowodem są przyjęte przez Niemców słowiańskie wyrazy rólnicze, np. *pflug* (pług) *stube* (izba, pierwotnie izdba), *meth* (med, miód) itd.

Rzemiosło. Z rólnictwem ściśle złączone są niektóre roboty rzemieślnicze. Dawni Słowianie znali się na nich i wykonywali je przy rolniczem zatrudnieniu swojem, że według dzisiejszego przysłowia: »oprócz soli, niczego nie potrzebowali kupić,« jak to bywa dotąd w wielu górskich okolicach. Siali len, przędli, tkali płótno i szyli odzienie. Również przędli wełnę z owiec i tkali z niej sukno lub gunię. Sami sobie stawiali chałupy, ustrugali wozy itd. Ile to do tego wszystkiego trzeba dziś różnych rzemieślników! Rzemiosło, remesło, po starosłowiańsku remstwo, oznaczało niegdyś sztukę. Zdaje się, że dawni Słowianie, mający wiele zwierza w lasach, uważali przerabianie skór na rzemienie, rzemy czyli sztuczne towary za najważniejsze rzemiosło, i ztąd nazwy rzemieślnik i rzemieniarz pochodzą z jednego pierwiastku. W polskim języku przemieniono niepotrzebnie rzemieniarza na rymarza, według niemieckiego. Tak też niesłusznie przyjęto wyrazy niemieckie: stelmach zamiast kołodziej albo kolarz, ślósarz zamiast zamecznik, snycerz zamiast rzeźbiarz itd. Wskazuje to na późniejszy upadek rzemieślnictwa słowiańskiego, w które wcisnęli się Niemcy, którzy wprzódy ani do rolnictwa tak wprawni nie byli, jak Słowianie. Świadczy bowiem niemiecki kronikarz, Witychind, jeszcze w 10. wieku, że Słowianie wszelkie prace, które dla Niemców były za ciężkie, z wielką zręcznością i zmyślności wykonywali. Byli biegłymi w garbarstwie, kowalstwie, ciesielstwie, rzeźbiarstwie, budowaniu okrętów, i górnictwem się zajmowali. Wyrabianie koloru niebieskiego słynęło zdawna u Wendów adryjatyckich. Cesarz grecki Konstantyn Porfirogeneta wspomina, że na Rusi Słowianie podczas zimy ścinali w górach drzewa, zbijali z nich tratwy, i w wiosennej porze spuszczali je po potokach na rzeki i jeziora, dla przewożenia na nich innych płodów. Zwyczajny to do dziś dnia sposób u podgórzan karpackich.

Handel. Kupiectwo. Obok zatrudnień rolniczych, okazywali przodkowie nasi wielką skłonność do handlu, i już w najdawniejszych czasach rozwinęli silną żeglugę na morzu. W ten sposób powstały u nich wcześnie za-

możne miasta. Mieli obfitość własnych płodów i zamieniali je za obce, dla upięknienia i uprzyjemnienia sobie życia. Za czasów Herodota znaczny był przemysł u przodków słowiańskich nad Borystenem (Dnieprem) w dawnej Scytyji. Siali oni zboże nie tylko dla własnej potrzeby, ale więcej na sprzedaż. Wielce cenione były trackie płótna z konopi. Ilirowie spółzawodniczyli z Grekami w wyprawach morskich. — Wendowie adryjatyccy, znani z posiadania wybornych koni już za Homera i wyrabiania sławnego koloru niebieskiego, prowadzili zyskowny handel jantarem (bursztynem), który dostawali od Wendów nadbałtyckich; i widać, że między południowymi i północnymi Słowianami były związki handlowe i mieli drogi lądowe. Jantar był ważnym przedmiotem handlu, bo ceniono go jak złoto; Grecy za Fenicyjanami kusili się na wyprawy morskie, by odkryć kraje, gdzie się znajduje, ale się im nie powodziło. Chociaż ojczyzną jantaru są północne wybrzeża polskie, zapomniano w polskim języku słowiańską jego nazwę, a przyjęto niemiecką: bursztyn. O północnych Wendach ciekawą powieść zachowali rzymscy dziejopisowie, że gdy Metellus był prokonsulem w Galiji, dostał od królika batawskiego kilku Indów, którzy burzą silną z indyjskiego morza zapędzeni zostali do Germaniji. Byli to zapewne mieszkańcy pomorza bałtyckiego, nazywający siebie Windami i morze swoje windyjskiem, a Rzymianie rozumieli, że to Indowie. — Była także słynna kolonija Wenedów nad atlantyckim oceanem w Galiji, o których Juliusz Cezar pisze, że mieli najobszerniejszą przewagę na tamtejszych pomorzach i posiadali mnóstwo okrętów. Tenże Cezar zniszczył ich potęgę. — O Hermundurach, którzy byli zachodnimi sąsiadami Czech, pisze zaś Tacyt: »Hermundorowie są wierni Rzymianom, dla tego im samym ze wszystkich Germanów pozwolony handel nietylko na pograniczu, ale w całej pięknej prowincyi Recyji. Nie przydajemy im strażników, wszędy wolno im chodzić, a gdy innym narodom ukazujemy tylko oręż i obóz, im otwieramy domy i dwory nasze, choć o to nie proszą.« Ci Hermundurowie byli to dawni słowiańscy (swewscy) mieszkańcy Turyngiji, i widać z opisu Tacyta, że prowadzili handel i przemysł podobnie, jak to było do najnowszych czasów we zwyczaju Słowaków, którzy chodząc ze swymi wyrobami do różnych krajów, dla swej uczciwości wszędzie przyjmowani byli ochotnie. Z tego odgadnąć się da dotąd niewytłumaczona i pewnie w łacińskim języku przekręcona nazwa Hermundurów: byli to remni, to jest rzemieślni Durowie czyli Turyngowie, turnikowie, górale. — Wszystkie te wspomnienia odnoszą się do czasów przedchrześciańskich.

Sława Słowian z handlu i przemysłu w dalekiej przeszłości jest udowodnioną. Miejscowości nadmorskie i nadrzeczne szczególniej podawały im do tego sposobność. Z płodów, oprócz jantaru, mieli drogie futra, miód, wosk, ryby morskie itp. do wywozu, który odbywał się wodą, albo na koniach po lądzie. Sól, jedna z najważniejszych potrzeb życia, była też głównym przedmiotem kupiectwa i płacono ją miodem lub skórami. — Lecz nie mniej obce płody zasilały handel słowiański. Od niepamiętnych bowiem czasów towary indyjskie, perskie i greckie szły przez słowiańskie osady, na Kijów, Nowgoród, dalej morzem bałtyckiem przez Słowian zachodnich, mianowicie przez ich miasta Szczecin, Wielin, Lubekę, Starogród i inne, do Normanów, Niemców i Galów. Północne »sagi« (podania) często też opiewają sławę i bogactwa tych targowisk słowiańskich. Nic dziwnego, że Niemcy często z zazdrością wspominali, że Słowianie mieli dużo złota i srebra. Frankoński cesarz Karol W. znalazł już nawet potrzebę na granicach swojich zapobiegać nawalnemu handlowi Słowian.

Oprócz morza i rzek, były już w dawnej przeszłości znane pewne drogi kupieckie środkiem kraju. Handel ówczesny był jednak zamienny: towar za towar. Wiadomo np. o Rujanach, że pieniędzy nie mieli, ani ich na targu nie potrzebowali, oceniając każdy towar podług lnianego płótna. Złoto i srebro przyjmowali jako towar, którego używali do przepychowego połysku w świątyniach i strojach. Z jedynego opisu miasta Wielina można powziąć wyobrażenie o rozwinięciu handlu i o bogactwie miast u Słowian północnych jeszcze za czasów bałwochwalczych. Dzisiejszym trudno to pojąć, iżby przed przyjęciem chrztu mógł być u nich porządek, taka zamożność i nawet uobyczajowienie; lecz łatwo mogą się przekonać o tem ze świadectw spółczesnych Adama Bremeńskiego, Helmolda, Saksa Gramatyka i pisarzy życia św. Ottona. Sprzyjały handlowi słowiańskiemu prawa i zwyczaje słowiańskie, które surowo karały najmniejsze napaści i gwałty na drogach; a gościnność słowiańska zapewniała podróżnym i kupcom zupełne bezpieczeństwo, bo kupiec cudzoziemiec był u nich »jako gość« osobą świętą, a ktoby gościa skrzywdził, temu każdy mógł podpalić dom.

Z owych sławnych miast i targowisk słowiańskich w krajach nadbałtyckich, skoro je Niemcy opanowali, utworzył się następnie związek niemieckich miast handlowych pod nazwą *Hanza*. Sam wyraz *hanza*, zamiast *wanza*, tj. węzeł, związek, jest starosłowiański, i Niemcy go grzyjęli, nie mając stosowniejszej nazwy. Weszli więc Niemcy do gotowych już siedlisk handlowych, i przyswojili sobie handel słowiański w tych stronach. Zastanowić się godzi, że wskutek tego zdarzenia, u północno-zachodnich Słowian zaginął staro-słowiański wyraz *tarżba, tarżenie,* i w polskim języku zamiast niego przyjęto niemiecki wyraz *handel*. Wyraz: kupiectwo, kupczenie, nie zupełnie temu odpowiada.

Pożywienie i odzienie. Dawni pisarze greccy świadczą, że Słowianie zachowywali mierność w pokarmach i piciu, mimo że mieli dostatek ziemiopłodów. — Dacki król Berebista (Przybysław?) w 1. wieku przed Chr. nakazał wycięcie winogradów, aby lud swój w trzeźwości utrzymać i do męztwa w walce przeciw Rzymianom wprawić. — Cezar powiada o Swewach, że zboże nie było jedynem ich pożywieniem, więcej żywili się mlekiem i mięsem, i przebywali wiele na polowaniu; żyli swobodnie i kąpali się w rzekach; dlatego byli silni i wielkiego wzrostu. Kupcom pozwalali do siebie przychodzić, ale nie żeby co od nich kupić, tylko żeby im sprzedać. Wina nie dozwalali do siebie dowozić, mniemając, żeby ich ludzie do ciężkiej pracy stali się leniwemi i niezdolnemi. — W całej Słowiańszczyźnie używany był do picia miód sycony (miodek). Arystoteles wspomina, że ilirscy Taulantowie wybornie miód sycić umieli. Piwo zdawna było znane Słowianom, jak sama nazwa świadczy, bo znaczy po prostu napój. Dawni Ilirowie mieli też podobny trunek, wyrabiany z jęczmienia i innego zboża, zwany u Greków sabaja tj. zapój, napój. — Gdy poselstwo cesarza greckiego r. 448 jechało do Attyli, obozującego koło Tokaju w Panoniji, na drodze w każdej wsi dawano mu proso zamiast żyta i miód (*medos)* zamiast wina; sługowie zaś Attyli posługiwali im też prosem i napojem *kamos* zwanym, podobno mongolskim kumysem. — Że zamożni Słowianie także dostatnio żyli, wolno wnosić ztąd, iż np. morawski (markomański) książę Marobud wychował się na dworze rzymskiego cesarza Augusta. O tysiąc lat później wysławia Helmold ucztę u królika słowiańskiego Przybysława, której był uczestnikiem wraz z nawracającym biskupem Geroldem.

U wielu ludów słowiańskich znajdujemy od wieków ten sam strój. Na równinach wprawdzie doznawał więcej zmian, i tam jest więcej rozmaitości. Najjednostajniej utrzymał się starożytny ubiór w okolicach góralskich, mianowicie karpackich, i dawne wzmianki przypominają zawsze dotychczasowy ubiór słowacki. Podobny ubiór mieli dawni Getowie czyli Dakowie. Takowy był i u nadłabiańskich Słowian, jak się okazuje ze zbioru starożytności przylwickich. Mianowicie składały ten ubiór: czapka barania, płaszcz lub gunia, serdak, koszula wyszywana nićmi barwnemi, pas, spodnie ciasne, obuwie sznurowane, składające się z kawała skóry czyli kierpce. Włosy podstrzygali Słowianie; lecz w niektórych okolicach splatano włosy w warkocze, i dotąd jest ten zwyczaj u chłopów bułgarskich. I Tacyt mówi o dawnych Swewach, że się odróżniali od właściwych Germanów tem, iż zaczesane włosy na tył węzłem ujmowali. — Mniej znany jest dawny ubiór niewiast; zdaje się, iż nosiły długie kabaty i suknie fałdziste. Mężatki okrywały głowy czepcami, a dziewy chodziły z głową odkrytą i włosami splecionemi w warkocze, który to zwyczaj dotąd troskliwie jest przestrzegany u narodów słowiańskich. Przy tem nosiły różne ozdoby złote, srebrne itp.

Wojna. Słowianie, lubiący spokojne zatrudnienia: rolnictwo, przemysł i handel, nie byli skłonni do wojny, i tylko w ostateczności zmuszeni do własnej obrony, podnosili oręż przeciw obcym napadom. Nie szukali w wojnie zysku i szczęścia swego, jak inne narody. Kochając własne swobody, życzyli ich również innym ludom, jako współbraciom, nie podbijali ich i nie ujarzmiali. Dla tego zamiłowania pokoju Słowian, mało wspomina o nich starożytna historyja, i w ogóle mniej, niż o narodach wojowniczych. Zdawaćby się mogło, że dawni dziejopisowie chcieli przyszłym pokoleniom dochować sam zbiór złości i nieładów ludzkich, a skromne cnoty zostawić w ich zaciszu ulubionem. Jak Tacyt powiada: kto większy i bije, tego prędzej poczciwym nazwą. Dziś dopiero mniej pytają, ile który naród zburzył miast lub wymordował ludzi, ale badają, jakie miał obyczaje i jakie jego zasługi dla ludzkości. Z przyczyny pokojowego życia, Słowianie, chociaż mieli tyle bogów, nie mieli jednak osobnego boga wojny, lecz w potrzebie oddawali się w opiekę swych bóztw miejscowych i tychże obrazy brali z sobą w wyprawach wojennych.

W przypadkach wojny obierali sobie wojewodę, który kierował całą siłą narodu. Sami nieprzyjaciele zaś oddawali im to świadectwo: że dla obrony swojich praw i niepodległości z ochotą znosili nędzę, głód i wszelkie utrapienia okropnej wojny, i kobiety nawet porówno walczyły z mężami; a pojmani woleli odbierać sobie życie lub umierać w najsroższych katuszach, niż wyjawić nieprzyjaciołom schronienia swoich współrodaków. — Skoro jedno plemię było zagrożone napadem, śpieszyły mu inne na pomoc. W ten sposób, chociaż usposobienie ich nie było wojenne, odpierali wroga. — Jornandes powiada: nie byli wprawni do oręża, ale dla swojej mnogości trudni byli do pokonania. — Cesarz grecki Maurycy opisuje, jak niewprawność swoją do wojny umieli zastępować przebiegłością: Niespodziewanemi napaściami przerażali nieprzyjaciela w cieśninach i wąwozach, gdzie zręcznie umieli się ukryć. Najraczej próbowali wycieczek nocnych na obóz nieprzyjacielski. Szczególną ich sztuką było zanurzać się w rzekach i w wodzie leżeć przez wiele godzin, podczas czego oddychali zapomocą długich rurek trzcinowych, w ustach trzymanych i nad powierzchnię wody sięgających, poczem nagle wypadali na wroga nic nie podejrzywającego. — Juliusz Cezar opowiada, że wielki naród Swewian liczył sto powiatów; z tych każdy co rok wystawiał tysiąc zbrojnych do wojska; pozostający w domu mieli pieczę o żywność dla siebie i wojska; następnego roku poszli inni do wojska, a tamci znowu

zostali w domu; tym sposobem ani rolnictwo, ani ćwiczenie wojenne nie było zaniedbane. Tak się urządzili północni Słowianie zapewne z powodu poruszenia się wówczas ludów teutońskich z północy.

Z czasem, zmuszeni do ciągłej obrony spokojni i łagodni Słowianie, nabyli wprawy do wojny i odznaczali się sztuką wojenną według ówczesnych pojęć. Podziwienie wzbudza męztwo i waleczność nadbałtyckich Słowian, jak przez kilka wieków bronili swej niepodległości przeciw Niemcom. Do boju używane były wówczas tarcze czyli pawęże, włócznie albo kopije i dzidy, miecze, młoty, łuki itp. Słowianie po większej części walczyli pieszo, ale też i konno. Oddziały wojska zwano wojami. Na przodzie tychże niesiono znaki wojenne na długich drzewcach, zwane stanicami albo zastawami, na których były wyobrażenia lub godła bożyszcz. Sławną była stanica Swantewita arkońskiego. W czasie pokoju przechowywano te znaki w świątyniach. Stanowisko wojenne otaczali wozami, ztąd nazwa obóz (obwóz), inaczej tabor. Przed nieprzyjacielem zagrzebywali wszelką żywność w ziemi, a żony, dzieci i trzody odsyłali do grodów, do lasów i miejsc bezpiecznych. Przy zawieraniu przymierza albo pokoju było samo podanie ręki dostateczną rękojmią przyrzeczeń, bo »Słowianie wierność zachowywali;« czasem też dawali kosmyk włosów z wierzchołka głowy, wraz z ździebłami uszczkniętej trawy. Przysięgi na bogów Słowianie rzadko czynili.

KONIEC.

KSIĄŻĘCE DZIECKO.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

W poczekalni doktora Włodzimierza Brody siedziało kilka osób, przybyłych po radę i pomoc do młodego lekarza. Każda z nich chciała jak najprędzej wejść do pokoju lekarza; jeden tylko człowiek siedział spokojnie na krzesełku, nie cisnąc się, ani pchając. Zdawało się, jakby miał cel w tem, ażeby być ostatnim. Twarz jego była chuda i zbiedzona a kto na niego spojrzał, musiał się domyślić, że całkiem zdrowym nie jest. Siedział, zwiesiwszy głowę. Od czasu do czasu rzucał tylko okiem po obecnych; raz spojrzał także przez okno i spostrzegł, że okno to wychodziło na podwórze.

Gdy wszyscy obecni wyszli, wszedł i on do lekarza i rzekł:

— Nazywam się Antoni Begnier i cierpię już od dawna na piersi.

Dr. Włodzimierz zrewidował go dokładnie i przekonał się, że ma chore płuca. Siadł przeto do stołu i napisał mu recept. Odebrawszy recept, wyszedł chory od lekarza, a wziąwszy kapelusz opuścił poczekalnią. Tam spostrzegł, że klucz tkwiał w drzwiach na zewnątrz i nie namyślając się długo, wyjął go i schował do kieszeni.

Ponieważ dzień był pogodny, postanowił Włodzimierz, po załatwieniu się z pacyentami, pójść na przechadzkę. Gdy wychodził, spostrzegł, że klucza od drzwi pierwszego pokoju nie ma. Mimo szukania nie zdołano go znaleść. Karol poradził tedy, zawołać ślusarza, aby nowy klucz dorobił. Ślusarz powiedział, że lepiej inny zamek przyprawić, bo może być, że jaki złodziej go ukradł, aby przy stósownej okazyi zakraść się do lekarza.

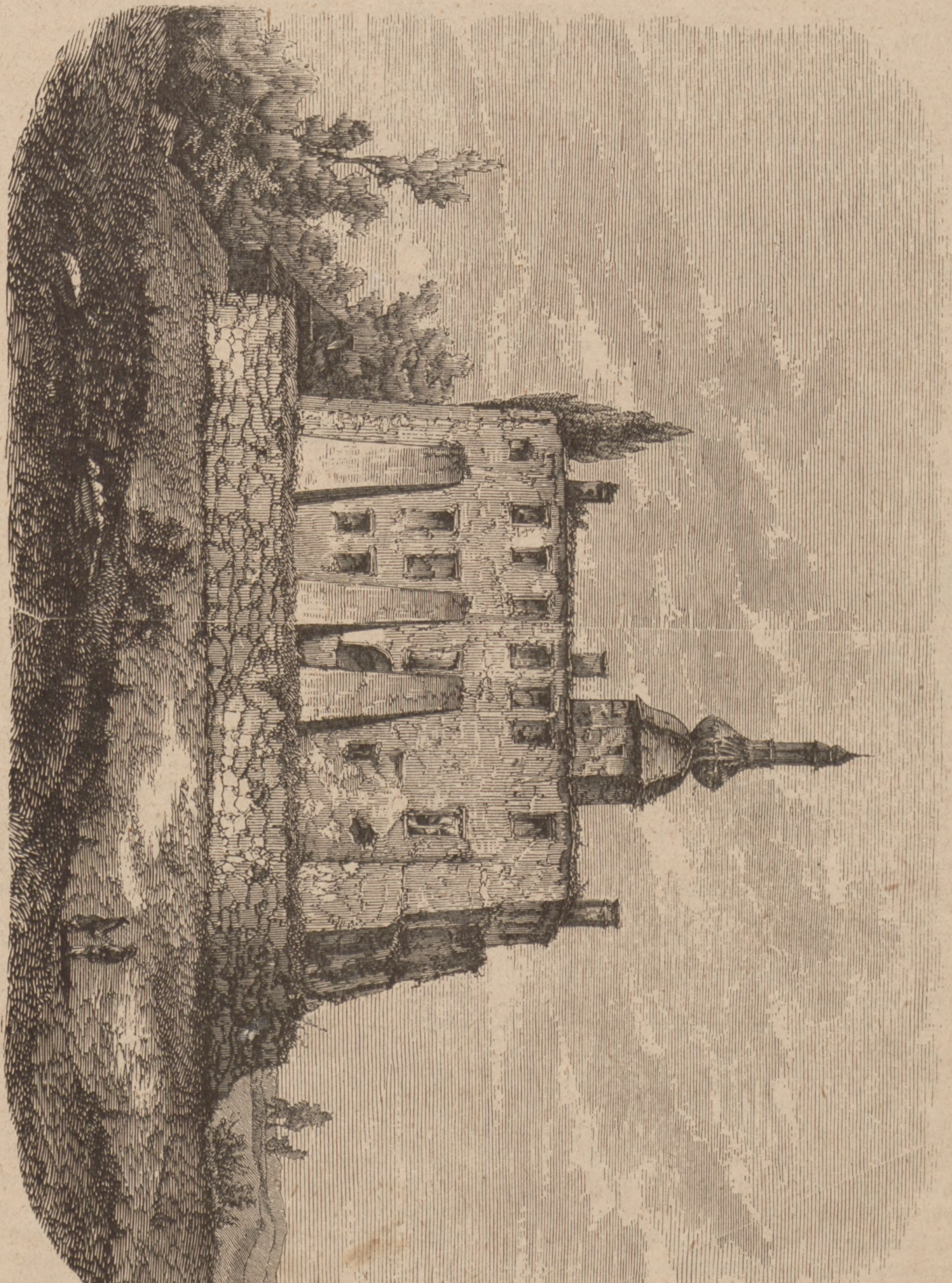
— Ej! cóżby mi mógł ukraść — zawołał Włodzimierz. — Musiałem klucz zarzucić i sądzę, że się z czasem znajdzie.

Ślusarz kiwnął głową, zrobił klucz nowy, a gdy kilka dni potem upłynęło, wszyscy zapomnieli o zaginionym kluczu. Włodzimierz chodził co tydzień z Karolem do teatru. W dwa tygodnie po przygodzie z kluczem, wyszli o 8 godzinie wieczorem z domu, aby zobaczyć sobie piękną sztukę, jaką właśnie w teatrze grać miano. Gdyby się byli odwrócili, to byliby spostrzegli, że jakiś człowiek, otulony płaszczem postępował za nimi; oni się jednak nie odwrócili. Ów człowiek odprowadził ich, zawsze w pewnem oddaleniu pozostając, aż do teatru, a gdy spostrzegł, że Włodzimierz z Karolem do niego weszli, odwrócił się i poszedł sobie....

W domu, w którym dr. Włodzimierz mieszkał, nie było odźwiernego; o godzinie dziewiątej wieczorem zamykano dom; kto przyszedł później, otwierał sobie drzwi kluczem, jaki każda rodzina, w domu mieszkająca, posiadała. Zaraz po godzinie ósmej owego wieczoru, wszedł do domu mężczyzna w płaszczu. Cicho otworzył drzwi do mieszkania doktora Włodzimierza; tam zapalił małą latarkę, przeszedł przez dwa pokoje i dostał się aż do sypialni Włodzimierza. Potem zdjął płaszcz, położył go pod łóżko lekarza, a wreszcie zgasiwszy latarkę, sam wszedł pod łóżko. Był to ten sam człowiek, z którym kapitan Ekuson o zamordowaniu dr. Włodzimierza się umawiał; ten sam, który prosił Włodzimierza o radę na chorobę piersi, zbieg z więzienia, Brantin.

Około godziny jedenastej wrócił Włodzimierz z Karolem do domu i zmówiwszy pacierz, zaraz się na spoczynek udali. Karol sypiał obok w komorze. Cisza zapanowała niebawem w mieszkaniu, a ukryty pod łóżkiem Brantin poznał po regularnem długiem oddychaniu, że Włodzimierz zasnął...

Około północy ozwał się nagle przeraźliwy głos, a tuż zaraz huk wystrzału.



ZAMEK W SIEWIERZU. (Zobacz objaśn. rycin na str. 347.)

Karol zerwał się na nogi i wpadł do pokoju Włodzimierza. Tu zobaczył, że okno otwarte i usłyszał, że Włodzimierz jęczy. Począł więc wołać o ratunek. W kilka chwil potem zapukał ktoś do mieszkania Włodzimierza. Gdy Karol otworzył, wszedł dr. Romberk ze świecą w ręku.

Zbliżywszy się do łóżka, spostrzegli, że Włodzimierz był raniony w piersi. Na ziemi,

przy łóżku, leżał skrwawiony nóż. Dr. Romberk zajął się zaraz opatrzeniem rany. Jeszcze tego nie ukończył, gdy posłyszano hałas na ulicy. Karol wyjrzał oknem i zobaczył, że warta nocna stała pod oknem przy trupie jakiegoś chudego człowieka, któremu kula czaszkę roztrzaskała.

Kilka dni i nocy upłynęło, a Włodzimierz ciągle jeszcze był bez przytomności. W malignie mówił rozmaite słowa, najczęściej zaś słyszano z ust jego imię: Helena!

Gdy się kryzys choroby zbliżyła, gdy miało się rozstrzygnąć, czy wyzdrowieje, czy zemrze,

— Uratowany? — zapytał Karol drżącym głosem.

— Cicho! — odpowiedział dr. Romberk.

— Uratowany, uratowany! — zawołał Karol, nie mogąc się powstrzymać. — Mój brat, mój opiekun uratowany. Bogu dzięki!

Włodzimierz był wprawdzie jeszcze bardzo słaby, ale z dnia na dzień polepszało mu się. Karol siedział ciągle przy nim.

Pewnego dnia rozmawiał z chorym o domu, o rodzicach. Wreszcie zapytał Włodzimierz:

— Mój kochany Karolu! Nie wiesz, czy Helena, chciałem powiedzieć hrabianka Arn-



Mieszkańcy Senegalu pastwią się nad trupami pobitych nieprzyjaciół. (Zobacz obj. rycin na str. 347).

dr. Romberk na krok nie odstępował chorego. Karol siedział przy łóżku i patrzał na Włodzimierza z taką boleścią, jakby to jego rodzony brat był. Godziny płynęły wolno. Wtem spostrzegli, że chory stawał się spokojniejszym; po chwili usnął. Dr. Romberk odetchnął i rzekł po cichu:

— Może będzie żył!

Włodzimierz spał kilka godzin. O ósmej godzinie rano otworzył oczy i zobaczywszy dr. Romberka i Karola, uśmiechnął się radośnie. Dr. Romberk ujął za puls i rzekł:

— Bogu chwała!

sztein jest jeszcze w Paryżu?

Karol nie umiał mu na to odpowiedzieć i Kazimierz zamknął znużone oczy. Cisza zapanowała w pokoju. Karol sądząc, że Włodzimierz chce spać, nie odzywał się ani słowem. Ale Włodzimierz nie spał. Zamknął oczy w tym celu, aby nie widząc, gdzie się znajduje, przywieść sobie na pamięć szczęśliwsze dni przeszłości.

Wtem ktoś zapukał do pokoju a tuż zaraz otwarły się drzwi i weszła pani ze służącym w liberyi; twarz miała zakrytą gęstą zasłoną.

Włodzimierz otworzył oczy i drgnął. W tej chwili pani podniosła zasłonę; to hrabianka Helena.

Chory chciał coś przemówić, ale nie zdołał. Helena przybliżyła się do łóżka i podając mu rękę, rzekła z wzruszeniem nie do opisania:

— Pan jesteś chory, więc przychodzę pana odwiedzić!

XI.

Było to pewnego zimowego wieczoru. W mieszkaniu odźwiernego Brody na zamku hrabiego Arnszteina już zapalono świecę. Broda z żoną siedzieli przy stole i byli bardzo smutni. Służący hrabiego napisał im z Paryża, że Włodzimierz został zraniony, ale że już ma się lepiej i lekarz nie wątpi, iż wyzdrowieje. Starzy popłakali się nad tą wiadomością i ubolewali serdecznie, że zgodzili się na to, aby Włodzimierz do Paryża jechał.

Wtem usłyszeli turkot wozu i Broda zaraz poznał, że tenże zatrzymał się przed bramą. Któżby przyjeżdżał?

Od czasu, gdy hrabia Arnsztein przebywał w Paryżu, zdarzyło się, że tedy owedy ktoś z sąsiadów w odwiedziny przybył, nie wiedząc, że hrabia jeszcze nie wrócił. Broda sądził, że tak będzie i tym razem. Wyszedłszy przeto przed bramę, rzekł do dwóch panów, którzy z wozu zsiadali:

— Pan hrabia Arnsztein bawi jeszcze ciągle w Paryżu.

— Nie przyjeżdżamy do pana hrabiego — odrzekł jeden z podróżnych — lecz do jego odźwiernego; jesteśmy z Czech.

— Do mnie panowie przyjeżdżają — zadziwił się Broda — z Czech? Ależ ja nie mam żadnego znojomego w tym kraju.

— Może być — odrzekł przybyły — ale my jednak do was przybywamy i prosimy was o chwilę rozmowy.

Gdy weszli do izby, żona Brody powstała i chciała wyjść z izby, ale jeden z przybyłych panów zatrzymał ją, mówiąc, że jej obecność bardzo im będzie miłą.

— Wy przyjęliście przed laty pewnego chłopca za syna, nieprawda? — tak odezwał się jeden z podróżnych.

— Tak jest — odpowiedział Broda.

— W jaki sposób dostał się ów chłopiec do waszego domu?

Broda spojrzał na żonę, co gdy pytający spostrzegł, rzekł:

— Odpowiedźcie spokojnie, jak było; chodzi tu bowiem o szczęście tego, któregoście za syna przyjęli.

Broda jął tedy opowiadać, jak hrabianka, zdjęta litością, przyprowadzić go kazała do zamku, jak chłopiec gdzie podziać się nie miał, więc go odźwierny przygarnął.

— Nigdyśmy tego nie żałowali — wtrąciła żona Brody, — bo chłopiec sprawiał nam wiele radości, ponieważ był dobry i w szkołach dobrze się uczył.

— A więc posyłaliście go do szkół? — zapytał drugi podróżny.

— Tak jest, a dziś jest doktorem medycyny w Paryżu.

— A czy wy wiecie, poczciwi ludzie — zawołał przybyły — kim wasz syn przybrany jest? Oto jest jedynym synem księcia Łagosty i nazywa się prawdziwem nazwiskiem: książę Włodzimierz Łagosta.

— Czy podobna? — zawołała żona Brody i zalała się łzami, podczas gdy Broda stał, słowa przemówić nie mogąc.

Wtedy przybliżył się jeden z przybyłych i podając im rękę, rzekł:

— Dziękuję wam serdecznie, poczciwi ludzie, w imieniu nieszczęśliwej matki, która od dawnych lat śmierć swego syna opłakuje i bądźcie przekonani, że was nie minie wielka nagroda — tak kończył Jan Ublik, gdyż to on właśnie był, ten sam, który przed laty do wywiezienia chłopca dopomógł.

— Nie wspominajcie mi nic o nagrodzie — odparł Broda. — Najlepszą naszą nagrodą będzie to, jeżeli Włodzimierz będzie szczęśliwy.

— Ale opowiedźcie mi, panie — zapytała żona Brody — jakim sposobem dziecko tak wysokiego rodu...?

— To opowiem wam później — przerwał jej Jan — aż się od was o wszystkiem dowiem.

Tak Broda, jak i żona jego opowiadali długo i obszernie a nawet dali Janowi do czytania dwa ostatnie listy Włodzimerza. Potem opowiedział im Jan, jak Włodzimierz wykradziony został, ale ani słowem nie wspomniał, że on właśnie za granicę go wywiózł.

— Teraz dajcie mi papieru i pióro. Muszę zaraz napisać list.

— Do Włodzimierza? — zapytał Broda.

— Nie, do księżnej, jego matki. Do Paryża pojedziemy wszyscy, i my i wy i wasza żona.

— Do Paryża? — zawołała żona Brody — a toć to tak bardzo daleko.

— Jakto? Czyż nie chcecie być pierwszemi, którzy Włodzimierzowi radosną nowinę przywieziecie?

— A jakże, a jakże!

W wielkiej radości gotowali się wszyscy do dalekiej drogi.

XII.

Nazajutrz po zamachu na Włodzimierza siedział kapitan Ekuson w kawiarni i przeglądał gazety. Naraz spostrzegł między nowinami ze stolicy coś, co go bardzo zajęło i widocznie ucieszyło, bo uśmiech osiadł mu na twarzy. Przeczytał bowiem, co następuje:

»Wczoraj w nocy wykonano zamach na młodego lekarza, dr. Włodzimierza Brodę. Morderca zakradł się do mieszkania lekarza i ukry-

wszy się pod łóżkiem, czekał, aż wszyscy usną. Następnie wyszedł z ukrycia i zadał śpiącemu nożem kilka ran w piersi. Po tym zbrodniczym czynie, wyskoczył oknem. Niewyjaśnionym dotąd sposobem wystrzelił wówczas pistolet, jaki morderca miał przy sobie i trafił go w głowę tak, że tenże spadł na bruk jako trup. Wątpią o tem, czy się uda rannego lekarza zachować przy życiu.«

— Wątpią o jego życiu — mruknął — kapitan — a tamten nie żyje; to wybornie!

Pan Ekuson był tak ucieszony z tej wiadomości, jakby wielki los na loteryi wygrał. Jego uciesze było za ciasno w kawiarni, więc wyszedł. Istotnie wiele szczęścia spadło od razu na niego; znienawidzony rywal został usunięty, a niewygodny morderca zamilkł na wieki. Kapitan oszczędził sobie 10 tysięcy franków a nadto pozbył się tego jedynego człowieka, który wiedział, iż on był głównym sprawcą morderstwa.

Teraz postanowił, nie tracić czasu, lecz zaraz udać się do hrabiego Arnszteina i prosić go o rękę córki. I tu sprzyjało mu szczęście; hrabia przyjął go bardzo grzecznie i oświadczył, iż ze swej strony nie stawia małżeństwu Heleny z kapitanem żadnej przeszkody, ale dodał, że córce pozostawia wolną wolę. Jeżeli ona się zgodzi, natenczas sprawa załatwiona.

Panu kapitanowi nie bardzo się podobało, że hrabia małżeństwo od przyzwolenia hrabianki Heleny zależnem uczynił, ale nie dał tego po sobie poznać. Z uśmiechem zgodził się na ten warunek a hrabia poprosił go, aby za kilka dni znów do niego przybył; tymczasem zaś on się z córką rozmówi i zarazem doda, że się nie sprzeciwia.

Dni czekania były bardzo, bardzo długimi dla kapitana. Otrzymał on w tym samym czasie wiadomość z domu, że ojciec jego na śmierć zachorował i chciałby się z nim widzieć. Kapitan nie odpisał na ten list, ani też nie pojechał do umierającego ojca, bo zdawało mu się, że stał niejako na warcie swego szczęścia; gdyby wartę opuścił, szczęście mogłoby mu się z rąk wysunąć.

Nakoniec przeszły dni oczekiwania; kapitan pojechał do hrabiego. Ten przyjął go nadzwyczaj grzecznie i to się kapitanowi nie podobało. Niedługo też zmiarkował ze słów hrabiego, iż sprawa się rozbiła, że hrabianka za niego wyjść nie chce. W tej chwili miał takie uczucie, jakby się przepaść przed nim otworzyła; wszystkie jego nadzieje zniknęły, a przyszłość przedstawiała się czarno. Złość go opanowała wściekła i zawołał podniesionym głosem:

— Nie dziwię się temu, że hrabianka Helena nie chce zostać moją żoną; wiem bowiem, że kocha sią w byłym żebraku!

Hrabia Arnsztejn zmarszczył brwi i zawołał:

— Jeżeli pan chcesz się okazać szlachcicem, to mów pan jaśniej.

— Owszem — odpowiedział bezczelnie kapitan — mogę mówić wyraźnie o tem, o czem wróble po dachach świergoczą. Oto córka pana hrabiego kocha się w doktorze Włodzimierzu...

Nie zdołał dokończyć, bo w tej chwili usłyszano szybkie kroki kilku ludzi w przyległym pokoju. Zaraz też otwarły się drzwi a w nich ukazał się komisarz policji i rzekł:

— Panie hrabio, prosimy o przebaczenie, jeżeli przeszkadzamy, ale obowiązek nasz zmusza nas do tego. Szukamy bowiem kapitana Ekuson, ażeby go aresztować...

— Co? — zakrzyknął kapitan blednąc.

— Z papierów znalezionych przy owym zbrodniarzu — tak mówił dalej komisarz, — który się zamachu na dr. Włodzimierzu Brodzie dopuścił, przekonano się, że kapitan Ekuson miał udział w tem morderstwie. W imię prawa aresztuję pana.

Zaraz też zbliżyli się żandarmi i wyprowadzili kapitana z pokoju. Hrabia tarł czoło, nie mogąc jeszcze dobrze wszystkiego pojąć...

W dwa dni później rano wniosła służąca do izby żyda Abrahama Frenkla gazety i położywszy je na stole, wyszła, słowa nie powiedziawszy. Frenkel, zajęty pisaniem i obrachunkami, nie spojrzał prędzej do gazet, aż swojej pracy nie ukończył. Gdy jednak wziął gazetę sądową do ręki, zaraz spostrzegł ważną nowinę. W gazecie pisano: »Wczoraj wieczorem znaleziono kapitana Ekuson nieżywego w celi więziennej; powiesił się. Dzień przedtem aresztowano kapitana dla tego, ponieważ z papierów znalezionych przy zbrodniarzu, który na dr. Włodzimierza Brodę zamach wykonał, przekonano się, że morderca został przez kapitana Ekuson najęty za 10 tysięcy franków w tym celu, ażeby lekarza zamordować. Dotąd niewiadomo, z jakiej przyczyny samobójca dr. Brodę zamordować chciał.«

Gdy Frenkel to czytał, nie drgnął mu żaden muskuł w twarzy, tylko oczy migotały żywo. Położył gazetę na bok, pomyślał trochę a potem mruknął: »Źle spekulowałeś, panie Abrahamie Frenklu!«

Następnie wstał, wyjął ze szafy wielki zabrudzony notes i wydobywszy z niego weksel kapitana, podarł go, mrucząc:

— Gdzie djabeł jest głównym spadkobiercą, tam Abraham Frenkel nie chce mieć nic do żądania.

Potem usiadł i napisał w książce sumę weksla jako stratę. Oczy mu znowu zamigotały i mruknął: »Inni muszą zapłacić tę stratę.«

Zakończenie.

Każdy Czytelnik sam się pewnie domyśli, jak się opowiadanie nasze co do innych osób skończy.

Broda z żoną i księżna Łagostowa przybyli prawie równocześnie do Paryża. Tutaj zastali Włodzimierza, przychodzącego do zdrowia a nadto znaleźli syna Karola. Przycisnęli go znowu do serca, dziękując Włodzimierzowi, że im syna wrócił i podziwiając zrządzenie Boga, który sprawił, iż ten sam, któremu oni miłosierdzie uczynili, uratował im własne dziecko od zagłady.

Księżna Łagostowa, która szukała pocieszenia po stracie syna w modlitwie i uczynkach dobroczynnych, została nagrodzona przez to, że syn, tak bardzo przez nią opłakiwany, znowu się znalazł.

Włodzimierz przyszedłszy do zdrowia, objął dobra po ojcu i przybrał prawdziwe swoje nazwisko, księcia Łagosty. Wkrótce potem zaślubił hrabiankę Helenę i oboje wyjechali do Czech a w rok potem oboje umieli już mówić po czesku.

Czytelnicy będą też pewnie ciekawi, jakim sposobem księżna Łagostowa o wykradzeniu syna się dowiedziała. Oto ten sam Jan Ublik, który go z Czech wywiózł, uczuł wyrzuty sumienia z powodu swojego niegodziwego czynu. Gdy ów kamerdyner, który go do tego namówił, nagle zmarł, udał się Jan do księżnej Łagostowej i wyznał wszystko. Księżna darowała mu winę, a on chcąc się odwdzięczyć, ofiarował się do odszukania Włodzimierza, co mu się też szczęśliwie udało.

KONIEC.

WŚRÓD PRZYRODY.

Ach, Boże, jak lubię,
Gdy ptaszki śpiewają,
A kwiatki na łące,
Woń swą rozsyłają.

Gdy słońce na niebie,
Pogodnie jaśnieje,
I światło złociste,
Strumieniami leje.

Gdy strumyk szmer szerzy,
W dali las szeleści,
A wietrzyk tchem miłym,
Lica moje pieści.

Gdy ziemia zielona,
Na niej rośnie zboże,
Falami się mieni,
Jak wezbrane morze.

Gdy pasterz wygrywa
Na prostej fujarce,
A bydełko żwawe,
Różne stroi harce.

Gdy rólnik wesoły,
Ogląda zagony
I widzi, że jego
Trud jest nadgrodzony...

O! wtedy mię wszystko
Do żywego wzrusza,
I szczęściem, weselem
Poi się ma dusza.

Wtedy mimowolnie,
Głos z piersi wylata,
Ciebie wielbić pragnie,
Stwórco tego świata!

W tej świątyni tutaj,
Chciałbym zostać wieki,
I takiej, jak dzisiaj,
Doznawać opieki!

Józef Chmielewski.

JAK FABRYKUJĄ OŁÓWKI?

Niedawno temu zwiedziłem miasto niemieckie Norymbergę, w którem znajduje się słynna fabryka ołówków F. W. Fabra. Stara to już fabryka, bo założona w r. 1766 przez Kaspra Fabra. Z biegiem czasu bardzo się rozwijała i powiększała a dziś kilkuset robotników znajduje w niej zatrudnienie. Oprócz tego założył Faber podobne fabryki w Paryżu, w Nowym Yorku, w Londynie, w Berlinie. Nazwisko Fabra znanem jest w całym świecie. Przybywszy do Norymbergi, zapragnąłem także odwiedzić fabrykę ołówków, na co właściciel chętnie mi udzielił pozwolenia.

Dziś dziwimy się bardzo, że rzecz tak potrzebną i pożyteczną, jaką jest ołówek, tak późno dopiero wynaleziono. Po raz pierwszy bowiem zaczęto używać ołówków w Anglii, dopiero około roku 1565. W starożytności nie znano ołówków do rysowania i rysunki ołówkiem pojawiają się dopiero przy końcu średnich wieków. Wiadomą jest rzeczą, że malarz Michał Anioł używał ołówków, składających się

prawdopodobnie z ołowiu i cyny. Miejsce ołówków zastępowało pióro i czarna kreda.

Dopiero, gdy w Anglii, za panowania królowej Elżbiety, kopalnie grafitu w Borrowdale odkryto, zaczęto tegoż grafitu do wyrabiania ołówków używać. Dzisiejsze ołówki nie powinny się właściwie ołówkami nazywać, bo nie są z ołowiu; nazwa ołówków jednak przyjęła się i pewnie na zawsze w używaniu pozostanie.

Jednakże pierwsze ołówki z grafitu nie wyglądały tak, jak dzisiejsze ołówki. Wyrabiano je w najprostszy sposób; kawały grafitu przerzynano w cienkie laseczki i oprawiano w drzewo. Nazywano je »ołówkami cumberlandzkimi,« ponieważ kopalnia grafitu leżała w prowincyi Cumberland. Jeszcze na początku bieżącego stulecia były one bardzo w używaniu i chwalono je jako nadzwyczajnie dobre; cena ich jednak była bardzo wysoka. Były one istotnie dobre, bo używano do nich najlepszego grafitu. Trwało to jednak nie długo, bo kopalnie grafitu wnet się wyczerpały a nowych nie zdołano odkryć. Wtedy zaczęto radzić sobie w ten sposób, że zbierano odpadki grafitu, mięszano je z innemi masami i wyrabiano z tej mięszaniny ołówki, które jednak były gorsze, aniżeli z czystego grafitu.

Wreszcie odkryto w Czechach nową kopalnią grafitu, lecz gorszego gatunku, jak angielski. Postarano się jednak o oczyszczenie go. Przy końcu przeszłego stulecia wpadło dwóch ludzi, Conte w Paryżu i Hartmuth w Wiedniu na myśl, aby oczyszczony grafit czeski, zmełty na mąkę, mięszać z gliną i z tego ołówki fabrykować. Wynalazek ten miał trojaki skutek: najprzód nie używając samego grafitu, można było nim dłużej wystarczyć, a dobroć ołówków, przez przymieszkę gliny nie stawała się mniejszą; po drugie mógł fabrykant wyrabiać twardsze i miększe gatunki ołówków, używając do nich mniej lub więcej grafitu; po trzecie fabrykacya stała się łatwiejszą, bo nie potrzeba już było krajać laseczek, ale można je było wytłaczać. Od tej chwili zaczęto fabrykować ołówki na wielką skalę; skutek był taki, że ołówki staniały, przez co znów więcej się rozpowszechniły. Dawniej używali ich ludzie bogaci; teraz mógł ich używać każdy.

Gdy się na zwyczajny ołówek patrzy, to się wydaje, jakby to była najprostsza rzecz w świecie. Bo z czegóż on się składa? Z kawałka drzewa, z odrobiny grafitu, zmięszanego z gliną; drzewo wypolerują, napiszą na niem nazwisko fabrykanta i otóż i ołówek!

Innego wyobrażenia o ołówku jednak nabędzie ten, co się dowie, w jaki sposób go zrobiono albo też ten, co widział, jak go robią? Zapraszam cię, miły czytelniku, do zwiedzenia fabryki ołówków, i to do fabryki najsłynniejszej na świecie, do fabryki Fabra w Norymberdze.

Po obu brzegach rzeki Rednitz wznoszą się wielkie budynki fabryczne wśród ładnych ogrodów. W środku wznosi się wielki dom, prawdziwy pałac, mieszczący w sobie biura fabryczne. Przed laty stał tam skromny domek, z którego wysyłano co tydzień w Sobotę jeden kosz, pełen ołówków do miasta. Dziś nie wystarczy wielki wagon kolejowy, aby pomieścić wszystkie paczki z ołówkami, które fabryka w tygodniu wysyła. Po obu stronach biura fabrycznego wznoszą się właściwe zabudowania fabryczne, które zwiedzimy w takiej koleji, że się unaoczni, ile potrzeba maszyn, pracy i zręczności, aby wyrobić najzwyklejszy nawet ołówek.

Grafit potrzebny do ołówków sprowadzają do dziś z Czech; lepszy jest grafit sybiryjski i z tego wyrabiają najlepsze i najdroższe ołówki. Gdy fabryka grafit z kopalni odbierze, wtedy każe go najprzód jak najstaranniej oczyścić z części kruszcowych i ziemi, z któremi jest zmięszany. Następnie mięsza się pokruszony grafit z gliną, także oczyszczoną i wypłókaną. Ile się bierze grafitu a ile gliny, to zależy od tego, czy się chce wyrabiać twardsze, czy miękksze gatunki ołówków.

Mięszaninę tę odstawiają do młyna, gdzie ją na mąkę mielą w bardzo subtelny sposób, bo dobroć ołówka tem większa, im staranniej i czyściej zmielona owa mąka. W tym oddziale fabryki jest około 400 młynków w ruchu; jedne mielą masę na ołówki czarne, inne na czerwone, inne na niebieskie i t. d. Fabryka Fabra wyrabia ołówki w 50 rozmaitych farbach.

Mąkę wysuszają dobrze a potem znów czynią wilgotną, że z niej papka (bryja) powstanie. Tę papkę niosą do innego oddziału fabryki i wlewają w maszyny, które ją bardzo mocno gniotą. Na spodzie maszyny są dziureczki, przez które owa papka w postaci nitek wychodzi. Dziureczki są rozmaitej wielkości i formy; są małe i wielkie, okrągłe i czworoboczne, sześcio i ośmiograniaste i t. p. Nitki, wychodzące z maszyny układają się tak prawie, jak się ułoży sama z siebie lina długa, gdy ją się z wysokości na ziemię spuści. Gdy się tych nitek już dosyć nasnuje z maszyny, biorą je i prostują i wyciągają na deskach, a zarazem krają je, tworząc rozmaite, mniejsze i większe laseczki. Następnie odstawiają na bok, aby dobrze wyschły. Potem wsadzają je jeszcze w osobne piece, gdzie się rozpalają i znowu stygną.

Każdy ołówek składa się z tej masy i oprawy z drzewa. Najlepszem drzewem do oprawy ołówków jest drzewo cedrowe. Ponieważ to drzewo jednak jest drogie, przeto głównie oprawiają ołówki w drzewo amerykańskiego jałowcu, (zwane po łacinie Juniperus Virginiana); drzewu temu dają także miano: »florida.« Sprowadzenie tego drzewa pociąga za sobą znaczne koszta, dla tego właściciel norymberskiej fabryki zasadził je w pobliżu miasta i zdaje się, że drzewo uda się i na gruncie europej-

skim. Zwyczajne ołówki oprawiają w drzewo sosnowe, lipowe, olszowe.

Do wyrabiania opraw do ołówków są osobne gmachy w fabrycie. Gdy się tam wejdzie, to się słyszy zgrzyt pił niezliczonych, krających drzewo, a około 50 przeróżnych innych maszyn zajmuje się obrobieniem pokrajanych kawałków drzewa na stósowne oprawy. Żadna jednak z tych maszyn nie obrabia całej oprawy, tylko każda coś przy niej zrobi, w czemś ją udoskonali i posyła następnej maszynie; ta znów dalszej, aż w końcu wyrobi się oprawa.

Jedna maszyna kraje drzewo na kawałki tej długości, jaką ołówki zwykle mają; druga wygładza te kawałki; trzecia przerzyna każdy kawałek wzdłuż na dwie połowy; czwarta wyrzyna w nich zagłębienie, w które się właściwy ołówek umieszcza.

Wtedy odnoszą te oprawy do innej sali, gdzie stoją długie stoły, a przy każdym z nich 3 do 5 robotników. Na stołach znajdują się naczynia z klejem. Pierwszy robotnik przy każdym stole wybiera oprawy i układa jednę przy drugiej na stole, tak szykując, aby wyrzezane zagłębienie było u góry. Co ich dwadzieścia przy sobie ułoży, posuwa je drugiemu robotnikowi, który zagłębienia klejem smaruje; trzeci odebrawszy je od drugiego, wkłada ołówek właściwy w zagłębienie; czwarty przytwierdza drugą połowę oprawy, czyli przykrywa ołówek taką samą oprawą, w jakiej już spoczywa a piąty wkłada je w prasę, gdzie wysychają. To wszystko jest ręczną pracą i prawdziwie podziwiać należy, jak zręcznymi są owi robotnicy i jak szybko pracę swoję wykonują.

Gdy ołówek z prasy wyjmą, wtedy ma kształt czworoboczny, prosty; oprawa jest jeszcze chropowata, nie wygładzona; całość nie wygląda ładnie. Teraz więc zaczyna się zmudna robota upiększenia ołówka. Odnoszą go więc znowu do innej sali i przepuszczają przez maszyny. Jedne z nich ucinają gładko oba końce, nie pojedyńczo, lecz od razu setkami; inne nadają ołówkom rozmaite kształty, okrągłe, kanciaste, trójgraniaste; inne wygładzają je jeszcze lepiej.

Nie dosyć na tem; ołówki takie wyglądają gładko, ale biało, i nie mają politury. Politurę nadają ołówkom częścią za pomocą rąk ludzkich; częścią też za pomocą maszyn. Maszynami można więcej i prędzej ołówków w politurę zaopatrzyć. Są one tak urządzone, że j e d e n robotnik może od razu w maszynie kilka tysięcy ołówków wypolerować. Potem wyciskają na nich nazwisko fabryki złotemi głoskami, przy czem używają, gdy chodzi o najlepsze gatunki ołówków — prawdziwego złota, ponieważ to nie zniknie, choćby ołówek bardzo długo leżał. Potem porządkują ołówki, pakują w mniejsze i większe paczki i wysyłają w świat.

W fabryce Fabra znajduje się jedna sala, w której zgromadzone są próby materyałów potrzebnych do fabrykacyi ołówków, a zarazem wystawa wszystkich gatunków gotowych ołówków, jakie fabryka wyrabia. Leżą tam tysiące najprzeróżniejszych ołówków, a każdy z nich różni się czemś od innych.

Fabryka Fabra zatrudniała jeszcze w roku 1839 zaledwie 20 robotników. W tym czasie objął ją Lotar Faber i pilnością, zapobiegliwością, nadzwyczajnie ją powiększył. Ten sam Lotar kieruje i dziś jeszcze fabryką i pracuje tak, jak pracował przed 60 laty, choć dziś jest baronem i milionerem.

ZIEMNIAKI.

(D o k o ń c z e n i e.)

4. *Rozmnażanie ziemniaków,* odbywa się w dwojaki sposób, przez nasienie albo przez bulwy. Chociaż rozmnażanie przez nasienie jest droższe i mozolniejsze, to jednak od czasu do czasu trzeba go użyć, jeżeli się chce mieć doskonałe ziemniaki, a robi się tak: bierze się najpiękniejsze jagody (kulki rosnące na wierzchołkach łętów) i najwięcej dojrzałe, zachowuje się takowe przez zimę w suchem miejscu, a na początku Marca sieje się wykruszone nasiona w dobrą ziemię. Skoro się pokażą ze ziemi roślinki, trzeba na noc, a kiedy zimno mroźno i w dzień, nakryć słomą, mianowicie kiedy są mroźne wiatry. W pierwszym roku otrzymuje się ziemniaczki nie większe, jak ziarnka grochu. Te ziemniaczki sadzi się na przyszły rok, i już się sprzątnie dość wielkie ziemniaki, a na trzeci rok ma się obfite żniwo ziemniaków i wprawdzie n o w e g a t u n k i, które trzeba wypróbować a najlepsze zachować do sadzenia. Ile jest ziarnek nasienia w jagodzie ziemniakowej, tyle nowych gatunków ziemniaczków. Jeden gatunek ziemniaków nie trwa dłużej, jak 50 do 60 lat. Ziemniaki więc są zawsze, lecz coraz nowe się tworzą gatunki za pomocą nasienia. Dobrzy gospodarze i ogrodnicy tworzą i próbują w ten sposób nowe gatunki ziemniaków, sprzedawają i wielkie pieniądze przez to zarabiają, chociaż pracy wiele nie mają.

Zwykle rozmnażają się ziemniaki przez to, że się kładzie bulwy w ziemię, albo całe albo pokrajane, byleby miały oczka. Nawet można sadzić świeże łupiny z oczkami. Lecz w ten sposób nigdy się nie zyskuje nowych gatun-

ków, lecz otrzymuje się tylko taki gatunek, jaki się sadzi. Najlepiej sadzić całe bulwy, ponieważ młode roślinki żywią się z początku, nie ze ziemi, lecz z bulwy. Jeżeli się więc bulwę rozkraje, to roślinki i koronki nie mają dosyć żywności i są słabe. Czasem ziemniak rozkrajany gnije i nie daje żadnego pożywienia młodym korzonkom. Tylko ten ma silne ziemniaki nowe, kto sadzi silne stare. Ze ziemniakami ma się rzecz tak, jak z innemi roślinami, z dobrego nasienia dobry plon.

Najlepszy czas do sadzenia ziemniaków jest koniec Kwietnia i początek Maja, kiedy życie i ciepło rozszerzyło się w ziemi.

5. *Przechowanie ziemniaków* jest bardzo ważne, i tych, które służą na pożywienie człowiekowi i tych, które się chce sadzić na rok przyszły. Ziemniaki przeznaczone na sadzenie, powinny więc być rozpostarte w miejscu suchem i jasnem przez trzy do czterech tygodni. Ziemniaki przeznaczone do jedzenia można zachować zaraz w miejscu ciemnem i tak chłodnem, aby kiełki w oczkach nie miały ochoty rosnąć. Ziemniaki, które na miejscu przechowania wypuściły długie łęty, nie są już przydatne do jedzenia, bo straciły wiele części pożywnych.

Gatunek ziemniaków jest dobry, jeżeli dobry mają smak i jeżeli zawierają w sobie wiele mączki. Zwykle ten, kto kupuje ziemniaki, nie zważa wiele na to, czy ziemniaki mają wiele mączki, dla tego można niby tanio kupić ziemniaki, a jednak za wiele za nie zapłacić. Ziemniaki pięknie wypatrujące mają jednak mało mączki, która stanowi całą wartość ziemniaka; oprócz mączki, reszta ziemniaka mało jest warta. Kto więc nie chce wydawać pieniędzy na ziemniaki darmo, ten niech się wpierw przekona, ile też ziemniaki mają mączki w sobie. Tak robią ci, którzy ze ziemniaków wyrabiają wódkę lub krochmal. Próbę można zrobić w ten sposób: rozpuszcza się 13 łutów soli w kwarcie wody i wrzuca się do tej wody ziemniaki. Jeżeli ziemniak idzie na dno, to jest dobry, jeżeli pływa na wierzchu, to ma mało mączki w sobie. Im więcej ziemniak spada na dno, tem jest lepszy, nie tylko do fabryki, lecz i do jedzenia.

Sposób ten poznania, czy ziemniak jest dobry nie jest zupełnie akuratny. Ktoby chciał się lepiej o tem przekonać, potrzebuje pewnych instrumentów, aby uregulować części soli we wodzie, bo i sól nie jest równa. Powyższy sposób jednak wystarczy do zwyczajnego użytku. Zwykle się nie robi żadnych prób, kupuje się na oko albo znane gatunki, o których się przekonano, że dobrze smakują, albo że pochodzą z gruntów piaszczystych.

Ziemniki posypane na kupę, są wilgotne, mokre i skutkiem tego łatwo gniją. Kto ma wiele słomy, a ziemniaki w piwnicy, ten może je osuszyć w ten sposób, że rozrzuci ziemniaki cienko i położy na nie słomy na 6 cali, potem znowu ziemniaki i znowu słoma, i tak na przemian do końca. Po tygodniu słoma będzie mokra, trzeba wtedy nową słomą ziemniaki przełożyć, i to powtarzać tak długo, póki słoma nie pozostanie suchą.

Na wiosnę robią się zwykle ziemniaki łojowate i niesmaczne. Aby lepiej smakowały, trzeba z każdego ziemniaka nieco ukrajać, nim go się wrzuci do garnka. Przez miejsce odkrajane wyjdą niesmaczne i zepsute soki ze ziemniaka, a utworzy się tam skórka jakoby rogowa. Kawałki odkrajane od ziemniaków można dać bydłu albo później użyć do jedzenia.

Często po jedzeniu pozostaje wiele ziemniaków gotowanych. Tych szkoda dać bydłu. Dla tego można je zużyć w następujący sposób: obrawszy ziemniaki z łupin rozrabia się takowe wodą na rzadko, i dodaje na funt ziemniaków ćwierć funta mąki. Z tego powstanie gęste ciasto, które trzeba rozwałkować na placek cienki. Potem kraje się kawałki, kładzie na papier i suszy na piecu. Suche te placki trzymają się przez wiele lat. Można zupę z nich robić, gotując w mleku, rosole, winie; jeżeli się rozrobi takowe w słonej wodzie z masłem i ze serem, to się ma makaron lepszy, aniżeli włoski. Można też te suszone kluski mleć, z czego powstaje mąka przydatna do najdelikatniejszego pieczywa.

6. *Ziemniaki* nie są zawsze równo p l e n n e. Zależy ich plenność od ziemi, mierzwy, pogody, pracy, od gatunku ziemniaków. Niektórzy obcinają łęty zielone, lecz pokazało się, że to jest szkodliwe dla ziemniaków, bo ziemniaki przestają rosnąć, skoro się łęty obetną. Najlepsze ziemniaki do sadzenia są te, które mają mało ócz, są nieco chropowate, okrągławe i nie są zbyt wielkie. Jeżeli ziemniak ma wiele ócz do kiełkowania, to musi się zanadto wysilić na łęty, za mało siły pozostaje na bulwy.

Ziemniaki rosną najlepiej na piasku glinkowatym. Potrzebuje też ziemniak wiele powietrza i słońca, nie trzeba ich sadzić pod drzewami, bo się staną wodnite. W ziemi wilgotnej i ciężkiej ziemniaki nie będą mączyte, mianowicie jeżeli przy obrabianiu i radleniu lub obsypywaniu dostaną się za głęboko w ziemię. Kto więc nie ma lekkiej ziemi na ziemniaki, ten powinien sadzić ziemniaki tak, iżby nie były głęboko w ziemi.

Ziemniaków sadzą najwięcej w Niemczech, Polsce, Irlandyi, mniej w Ameryce, Francyi i południowych krajach. W Prusach zebrano tego roku 183,302,000 podwójnych centnarów, a to rok lichy na ziemniaki.

7. Jak przy wszelkiem gospodarstwie starają się ludzie rozumem i przemysłem dopomódz naturze i siły natury powiększyć, tak i przy ziemniakach. Pewien rólnik doprowadził do tego, że ziemniaki jego miały łęty $12^1/_2$

stopy wysokie. Chciał on się przekonać jak wysoko rosną łęty i zasadził zwyczajny ziemniak pod szczyt domu, a obok niego tyczki, do których przywiązywał łęty, skoro wyrastały wyżej, przy tem podlewał codzień kierzek ziemniakowy. Z tego kierzku miał 62 ziemniaków wielkich. A więc cała rzecz polega na tem, aby łęty przywiązywać do tyczek, co naturalnie tylko na mniejszych kawałkach uczynić można. Wynika też z powyższego przykładu ta nauka, aby nie sadzić nigdy ziemniaków zbyt gęsto, ponieważ wtenczas słońce i powietrze nie może się przedostać ani do ziemi ani do łętu, a ziemniak bierze wielką część żywności właśnie z powietrza. Rozumie się też, że ziemniaki potrzebują wilgoci odpowiedniej, albo deszczu albo polewania.

8. *Choroby też się czepiają ziemniaków.* Łęty ziemniaków marnieją skutkiem pleśni, która się składa z małych grzybków. Pleśń zaś i grzyby powstają wtenczas, kiedy soki rośliny się psują. Natura przez to stara się niejako o to, aby to, co chore i stare prędzej się rozpadło i ustąpiło miejsca nowemu i zdrowemu życiu. — Choroby ziemniaków powstały najpierw z tego, że gatunki ziemniaków się przestarzały, bo już powiedzieliśmy, że jeden gatunek nie trwa dłużej, niż sześćdziesiąt lat. Bardzo dobre gatunki ziemniaków całkiem zmarniały. Teraz zupełnie inne gatunki się rozpowszechniły, które wyhodowano z nasienia.

9. Często zachodzi spór, czy ziemniaki są pożywne lub nie. Ciało ludzkie potrzebuje co dzień 7—9 łutów ekstraktu z takich pokarmów, które idą w krew, a 22—28 łutów ekstraktu z takich pokarmów, z których się tworzy tłuszcz, bo żołądek wyciąga z pokarmów części przydatne do tworzenia krwi i do tworzenia tłuszczu. Jeżeli ciało nie wydostanie z pokarmów dziennie 7—9 łutów dla krwi a 22—28 łutów dla tłuszczu, to człowiek źle się żywi, słabnie, choruje, prędzej umiera. Dla tworzenia krwi jest bardzo przydatny groch i wszelkie strękowate rośliny, lecz trzeba dodać tłuszczu. Nie wszystkie potrawy równo są pożywne.

Co do ziemniaków to zawierają takowe mniej więcej 9—20 części mączki, 3—4 części włókna, 68—84 części wody, 4—4$^1/_2$ części gumy, cukru, białka roślinnego i soli. Najwięcej pożywnych części mają ziemniaki zimą, a najmniej młode zimniaki i zupełnie stare wiosną.

Gdyby człowiek jadł same ziemniaki, toby potrzebował 12 do 14 funtów dziennie, aby mu krwi nie ubywało, lecz nie miałby nic dla tworzenia tłuszczu i niemiałby z nich innych części pożywnych, których ciało potrzebuje. Źle się więc żywi, kto po większej części pożywa ziemniaki. Do ziemniaków trzeba dodawać innych pokarmów, mięsa, mleka, jaj, bo te pokarmy zawierają w sobie takie części pożywne, jakich nie ma w ziemniakach.

Ponieważ ziemniaki dodają ciału tłuszczu, dla tego używa ich się też do tuczenia zwierząt.

10. Ziemniaki są przydatne nie tylko jako pokarm dla ludzi i zwierząt, lecz wiele innego pożytku z nich. a) Wyrabia się z nich mączka (krochmal), ze 100 funtów świeżych ziemniaków ma się 12—13 funtów mączki, którą sobie każdy sam może robić tak: trze się funt ziemniaków, ugniata się z wodą na ciasto, wyciska przez płótno. Płyn wyciśnięty musi stać godzinę, mączka idzie na spód, wodę z wierzchu zlewa się. Czasem trzeba kilka razy wody świeżej nalewać, za każdym razem czekając, póki mączka nie osiędzie na dnie. W końcu mączka suszy się w łagodnem cieple. Z ziemniaków zmarzłych można tak dobrze robić krochmal jak ze zdrowych. b) Przeciśnij mączkę ziemniakową przez druciane sito, to otrzymasz ziarnka, które trzeba trzymać nad parą gorącą, a potem ususzyć. To jest »sago« ziemniakowe, przydatne do zupy. c) Robią też ze ziemniaków dobre piwo, równie dobre, jak z jęczmienia. d) Jeżeli się gotuje mączkę ziemniakową i jeżeli się doda na 100 funtów takowej jeden funt kwasu siarczanego, to się tworzy cukier lub syrop. Aby usunąć siarkę, to się wrzuca wapna i gotuje się płyn, aż się z niego nie zrobi para. Co zostanie, to cukier lub syrop, których się używa do fabrykacyi likierów i innych rzeczy. e) Jeżeli rozczynisz cukier lub syrop ziemniakowy we wodzie i dodasz nieco korzeni i soku z wiśni, a w końcu pozwolisz temu fermentować, to otrzymasz dobre wino.

UROCZYSTOŚĆ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH.

(1-go Listopada).

Zaraz w pierwszych wiekach chrześciaństwa obchodził Kościół św. corocznie uroczystość na cześć każdego męczennika. Tego dnia zgromadzali się chrześcianie w miejscu, gdzie został umęczony, otaczali jego grób, a kamień grobowy był ołtarzem, na którym odprawiała się Msza św. Wkrótce liczba męczenników pomnożyła się tak dalece, że już niepodobna było każdemu z nich naznaczać osobnego święta. Za męczennikami poszły także do nieba tłumy pustelników, dziewic i wyznawców, których świętość Pan Bóg potwierdził jawnymi

cudami, poszła do nieba niezliczona liczba Świętych, których imiona tylko Panu Bogu znane, i dusz sprawiedliwych, które oczyściwszy się ogniem czyścowym, stały się godnymi królestwa niebieskiego. Kościół św. więc, nie mogąc osobno uczcić co rok każdego Świętego, postanowił uczcić wszystkich Swiętych Pańskich razem w jednym dniu i z tego powodu ustanowił uroczystość Wszystkich Świętych.

Uroczystość ta przypada w jesieni. Ma to swoje głębokie znaczenie. Na jesień bowiem zbierają ludzie plony i owoce swoich znojów i trudów, i zapełniają niemi śpichlerze, sklepy i komory. Cieszy się z tej skrzętności i gospodarności swych dzieci Kościół św. i pochwala ją, ganiąc zarazem opieszałość i nierządność niedbałych o rzeczy do utrzymania życia potrzebne. Atoli woła na wszystkie swe dziatki: W górę wznieście oczy i serca! Bogaci i ubodzy, uczeni i prostaczkowie przenieście się myślą do nieba i oglądajcie plony i owoce trudów i znojów Swiętych Pańskich. Te dobra, które zgromadzacie, te szacowne zbiory waszej pracy w pocie czoła, którymi się cieszycie, są tylko słabem wyobrażeniem dóbr i rozkoszy oczekujących was po za grobem. Albowiem św. Paweł naucza: Czego oko ludzkie nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło, to nagotował Bóg tym, którzy go miłują. Z daleko więc większą, aniżeli o dobra ziemskie, skrzętnością troszczcie się o dobra niebieskie; zasiewajcie tu na ziemi cnoty i dobre uczynki, walczcie ze złem i znoście cierpliwie wasze krzyże za wzorem tej starszej braci waszej, która dziś cieszy się obfitymi zbiorami swej siejby, pracy, znojów i trudów poniesionych dla chwały wiecznej.

W tej chwalebnej myśli Kościoła św. czcijmy dziś tych błogosławionych mieszkańców nieba, bo to jest jedyny i Świętym pańskim najmilszy sposób ich czci, jeżeli ich wzór naśladujemy w życiu. Taką cześć oddawali im przed nami chrześcianie wszystkich wieków i oddawać im będą następne pokolenia, gdy nas tu na ziemi już nie będzie. W ich świętem gronie jaśnieję chwałą niebieską przedstawiciele wszystkich narodów, stanów i języków, jak to Pan Bóg objawił św. Janowi Apostołowi, który to objawienie tak opisuje: »Potymem widział rzeszę wielką, której nie mógł nikt przeliczyć ze wszech narodów i pokoleń i ludzi i języków, stojące przed stolicą i przed oblicznością Baranka, przyobleczeni w szaty białe, a palmy w ręku ich.«

Są tam więc i tacy, co byli tu na ziemi kość z kości naszej, krew z krwi naszej, patronowie nasi, których cześć Kościół św. nam nakazuje, są może nasze ojce i matki, bracia i siostry, krewni i przyjaciele. Przypominajmy więc sobie dzisiaj ich święte życie, ich cnoty i dobre uczynki i powiedzmy sobie: Oni mieli tę samą co my naturę, tę samą krew, żyli wśród tych samych co my pokus i przeciwności, a zostali Świętymi. Czemuż i my nie mielibyśmy zostać Świętymi? A więc naśladujmy ich święte wzory; oni nam dopomogą swą modlitwą do Pana Boga za nas zanoszoną do zwyciężenia, a Pan Bóg łaskawy sprawi, że kiedyś po naszej śmierci uroczystość Wszystkich Świętych na ziemi będzie także naszą uroczystością.



WSZYSCY ŚWIĘCI.

Obok tego mamy dziś sposobność naprawić uchybienia, jakich mogliśmy się dopuścić względem czci Świętych Pańskich, których uroczystości w roku osobno obchodzimy. Jeżeliś bowiem chrześcianinie w uroczystość jakiego Świętego ciężko zgrzeszył i dopuścił się jakiego zgorszenia, uchybiłeś czci tego Świętego, nie czciłeś go, jak się przynależy. Przeproś więc dziś Pana Boga za to przewinienie; uczyń dziś jaki dobry uczynek i postanów, ćwiczyć się w cnocie, której wzór daje ci obrażony przez ciebie Święty Pański.

WŚRÓD GROBÓW!

(Na Dzień Zaduszny.)

Groby przy grobach; na grobach kamienie,
Proszą żyjących o ciche westchnienie.
Memento...
Uciekam z świata utrapień i znoju
Na ziemię mogił poszukać pokoju, —
Na świętą!

Cisza!... Śpią zmarli, śpią kwiaty i drzewa,
Śpią trawy, a księżyc mdłem światłem oblewa
Milczące...
Jestem i tonę w tej ogromnej ciszy,
A ucho tylko serce moje słyszy
Bijące...

Klękam przy grobie, przywartym kamieniem,
Z cichą modlitwą i cichem westchnieniem
Za duszę —
»Ciszej me serce, bo spokój twem tętnem
Echem walk drżącem, gorącem, namiętnem
Naruszę!...«

A wtem się kamień odezwie — o dziwo! —
Kamień bezduszny, zimny — mową żywą
I rzecze:
»Napróżno szukasz i wzdychasz pokoju,
Bo życie ludzkie, to życie trosk, boju,
Człowiecze!«

»Iluż-to, ilu, jak ty, przychodziło,
Szukać spokoju tutaj, nad mogiłą!
I łkali...
Mówiąc, że w wielkiej światowej rozterce,
Szczęścia i ciszy spragnione ich serce!
Płakali!...

Napróżno, ludzie, napróżno płaczecie,
Bo dla serc ludzi nie ma ciszy w świecie,
Prawdziwej —
I musi działać i musi pracować,
I musi tęsknić, pragnąć i bojować,
Kto żywy.

A kiedy działa, jak każe Duch Boży,
To sobie zasług przed Bogiem przysporzy,
Obficie —
I znajdzie spokój, ach spokój bez końca,
Gdy Bóg doń kiedyś pośle swego gońca,
Po życie!«

I zamilkł kamień. »Ciszej, serce, ciszej,
Niech twojej skargi nikt już nie usłyszy,
Wśród boju!
Ty dojdziesz kiedyś po tych latach znoju
Upragnionego spokoju, spokoju,
Spokoju...«

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Zamek w Siewierzu. Siewierz jestto miasto nad rzeką Przemzą Czarną, w powiecie będzińskim, przy trakcie z Zawiercia do Tarn. Gór na Szląsku. Ma 2500 mieszkańców, a między nimi sporo żydów. Zajmuje on nas dla tego także, ponieważ przed dawnymi laty, stanowił razem z Bytomiem posiadłość Kaźmierza, syna księcia raciborskiego. Podarował mu go król polski Kaźmierz na wiązarek chrzestny, bo trzymał księciu raciborskiemu, z rodu Piastów, owego syna Kaźmierza do chrztu św. Było to w r. 1180. W r. 1289 stoczono tu pod Siewierzem bitwę; z jednej strony stał książę szląski, Henryk Pobożny, z drugiej Władysław Łokietek. Jeden i drugi chcieli być książętami krakowskiemi i o to się właśnie tu bili; Henryk Pobożny został pobity. W roku 1337 sprzedał Władysław Piastowicz, ówczesny pan Bytomia, Siewierz z całem księstwem krewnemu swemu, księciu Kaźmierzowi cieszyńskiemu. W r. 1448 sprzedał go Wacław, książę cieszyński, Zbigniewowi Oleśnickiemu, biskupowi krakowskiemu za 6000 grzywien. Ponieważ bracia tegoż Wacława temu się sprzeciwiali, więc biskup musiał przemocą zajmować księstwo siewierskie. Biskup Filip Padniewski zaprowadził w r. 1567 pierwsze targi w Siewierzu a zarazem ustanowił, że miasto pobierało od przejeżdżających kupców cło. Mieszkańcy miasta i księstwa mieli się dobrze, bo jako na poddanych biskupów krakowskich, nie nakładano na nich żadnych podatków ani ciężarów. Król Władysław 4-ty wydał wyraźny rozkaz, że ponieważ księstwo siewierskie udzielne jest, przeto od wszelkich podatków wolne i żadnym ciężarom nie podlegające. Zamek, stojący na kępie pośród obszernego stawu, podźwignął i przyozdobił biskup Piotr Tomicki, a biskup Franciszek Krasiński nakazał r. 1574 obywatelom księstwa płacić pewien podatek na opatrzenie i utrzymanie gmachu w dobrym stanie. W zamku tym przebywali często biskupi krakowscy; przemieszkiwał w nim ks. Sołtyk, który tu bić kazał złote dukaty w r. 1762 i srebrne grosze 1761 roku, bo miał prawo bicia monety. Bis-

kupi miewali tu swój dwór, swego kanclerza, sędziów i wójtów, nadawali niekiedy szlachectwo mieszkańcom księstwa, co się dobrze zasłużyli. Ostatnim księciem siewierskim był biskup Feliks Turski. Pamiątką rządów jego są ruiny zamku, wzniesionego zapewne na murach pierwotnego grodu. Krótko przed rozbiorem Polski zostało prawo książęce biskupów krakowskich w księstwie siewierskiem zniesione.

Mieszkańcy Senegalu pastwią się nad trupami pobitych nieprzyjaciół. Od czasu do czasu przedrze się do Europy wieść o strasznych walkach, jakie się toczą w Afryce. Państwa europejskie, które tam wojska swoje wysłały, muszą staczać z tamtejszymi mieszkańcami mordercze boje. Niektóre narody afrykańskie trzymają z Europejczykami i pomagają im do zwalczania współbraci swoich, skutkiem czego w wielkiej są u nich nienawiści. Podajemy dziś obraz, przedstawiający w całej grozie, jak ludzie jednego szczepu afrykańskiego jeszcze po śmierci pastwią się nad trupami innego szczepu. Jestto obraz z kolonii francuskich w Afryce, z nad rzeki Senegalu. W tych okolicach stawiał król murzynów Ahmadu najzaciętszy opór Francuzom. Po długich walkach udało się wojsku francuskiemu pobić wojsko murzyńskie i zdobyć ostatnią twierdzę ich króla. Znaczna liczba pobitych schroniła się do kraju, zwanego Bakel, którego mieszkańcy w przyjaźni z Francuzami żyli. Jenerał francuski, nie mając dosyć wojska do ścigania uchodzących, wydał rozkaz mieszkańcom Bakelu, aby wszystkich zbiegów zabijali, jeżeli sami przez Francuzów nie chcą zostać zabici. Bakelowie usłuchali chętnie tego rozkazu. Chwytali biednych murzynów i ścinali i mordowali ich całemi gromadami. Trupy składali przy sobie na jednem miejscu, aby je Francuzom pokazać i nagrodę od nich za wypełnienie rozkazu odebrać. W niektórych miejscach pobrzeżnych, zawleczono pobitych na brzeg Senegalu i topiono w rzece. To przedstawia nasza rycina na stronie 337.

PRAKTYCZNE RADY.

— **Gruszki w occie.** Około 30 gruszek ostrugać. Potem gotuje się dobrą kwaterkę octu winnego, w którym rozpuścić $^5/_4$ funta cukru, włożyć trochę cynamonu i gwoździków. Gruszki, po kilka, gotuje się do miękkości; jeżeli po ugotowaniu wszystkich sos jest za rzadki, trzeba go jeszcze pogotować. Po ostygnięciu włożyć w słoj i zalać sosem.

— **Zupa ogórkowa.** Nastawić rosół z wołowego mięsa, rozprowadzić go taką ilością kwasu ogórkowego, aby kwasek był przyjemny, dodać włoszczyzny, można kilka suchych grzybów i gotować. Pokroić w talarki kilka ogórków kwaśnych, ugotować je osobno, odcedzić, zalać rosołem i wydać na stół.

Można też tę zupę dać zabieloną.

— **Zrazy cielęce z cytrynowym sokiem.** Pokroić w poprzek na zrazy cielęcinę, wybić dobrze, posolić, rozpuścić kawałek masła, wlać do rądla, ułożyć w nim zrazy, posypać drobno pokrajaną cebulą, marchwią, pietruszką i tuszyć do rumienności. Wyjąć zrazy z rądla, włożyć do sosu łyżkę masła, trochę mąki, zarumienić mocno, wycisnąć sok z jednej cytryny, przecedzić i jeszcze raz zagotować.

— **Gotowanie kartofli.** Jeżeli kartofle mają być smaczne, trzeba je opłukać tuż przed wstawieniem na ogień, nalać wodą troszkę osoloną i do połowy ugotować, potem odlać tę wodę a nalać czystą gotującą się wodę także osoloną; gdy już są miękkie, zahartować łyżką zimnej wody, od której się popękają i nie tracą aromatu.

— **Chleb zaparzany.** Piekąc jakikolwiek chleb, zostawić kawał ciasta, obwiązać w naczyniu, aby nie stęchło i zachować do chleba zaparzanego w zimnem i suchem miejscu.

Rozczyniając chleb zaparzany, wsypać mąkę suchą do dzieży, zalać wrzącą wodą, rozmięszać, dobrze zakryć, niech tak ostygnie. Potem rozprowadzić ciepłą wodą. Gdy ukwaśnieje, dosypać mąki, soli, kminu i wymięszać, uważając, aby ciasto było gęste i od rąk odstawało.

Postawić w cieple, a gdy się wzruszy, robić bochenki, a skoro podrosną posmarować lekkiem piwem lub białkiem od jaja i w piec wsadzić.

Roszczyn powinien być gęsty, bo chleb będzie smaczniejszy, gdy większa część mąki do niego użyta przefermentuje się w rozczynie; ztąd trzeba uważać, aby na zamięszanie jej mniej potrzebować mąki.

— **Jabłka zwiędłe,** aby odświeżyć, kładzie się na pół dnia, lub na cały dzień według tego jak bardzo są zwiędłe do zimnej studziennej wody, a uzyskają zupełną świeżość.

— **Czyszczenie skórek do mycia okien.** Skórki te piorą się w łoju ze sody i mydła. Gdy już zupełnie czyste, pierze je się w mocnych mydlinach, pozostała w nich część mydła nie pozwoli im stwardnąć. Po ususzeniu, trzeba je w ręku przeciągnąć a będą zupełnie miękkie.

— **Obrazy, olejodruki,** czyści się gębką umaczaną w mleku słodkiem, a potem wyciera miękką, już praną chustką jedwabną.

— **Warzywo.** Warzywo przynieść może dochód niemały, tylko baczyć należy na to, ażeby każda piędź ziemi, przeznaczona na jego uprawę, była wyzyskaną należycie. Najlepiej zaraz z początkiem wiosny, gdy tylko temperatura na to pozwoli, zacząć od sadzenia rychłej galarepy. Na zagonie, mającym 1 metr szerokości, sadzić ją dobrze, nie we więcej, jak w trzech rzędach, pojedyńcze zaś rośliny w odstępach po 40 centymetrów. Równocześnie można pomiędzy rzędami galarepy nasadzić sałaty, którą, gdy się sprzątnie, zastąpić jej miejsce selerami. Zanim selery dojrzeją, ma się z tego zagona 2 sprzęty, t. j. sałaty i galarepy, które o wiele wcześniej się rozwijają, niż tamte. Zamiast sałaty można pomiędzy rzędami galarepy także sadzić inne warzywa, które prędzej dojrzewają od niej, jak to n. p. redyski, rzodkiew i t. p. Tak samo pomiędzy kalafiorami, zwłaszcza pomiędzy tymi ich gatunkami, co już w lipcu dojrzewają, sadzić można nie tylko sałatę, ale i pory i selery. Przy późniejszych kalafiorach dałoby się to samo uczynić tylko w tym razie, gdyby ich pojedyńcze wysadki sadzano w zbyt wielkich od siebie odstępach, ale zysk byłby wtedy nieco wątpliwym.

Groch cukrowy i tyczkowy są jedynemi warzywami, które żadnych innych nie znoszą pomiędzy sobą, dla tego trzeba je sadzić jak tylko można najwcześniej, aby z ich sprzętem uporać się tak rychło, iżby na ich miejscu można tego samego lata jeszcze innego nasadzić warzywa.

Po grochu cukrowym, który jak wiadomo dojrzewa w lipcu, dosyć jest czasu zasadzić zaraz n. p. galarepę, która do jesieni wykształca się dostatecznie i tę ma w dodatku zaletę, iż jest o wiele delikatniejsza od zwykłej, sadzonej w maju lub czerwcu. Nawet selery i pory można też sadzić bezpośrednio po groszku cukrowym, ale te już nie dochodzą takich samych rozmiarów, jak te, co były sadzone rychlej. Wszelako i późniejsze selery i pory, lubo są nieco mniejsze, nadają się bardzo do zaprawy rozmaitych zup, a przytem kucharki je wolą dla tego, że nie potrzeba ich rozdzielać i pewnej części chować na później, wskutek bowiem tego część nieużyta tego samego dnia, zazwyczaj się psuje.

Samo się przez się rozumie, że zagony, na których uprawiane ma być bezpośrednio jedno warzywo po drugim, muszą być po powtórnem użyciem dobrze umierzwione i skopane.

Po warzywach sprzątanych w miesiącu lipcu, można jeszcze nasadzić jarmużu lub sałaty zimowej, albo też zasiać szpinaku.

Ogród warzywny, spożytkowany w taki sposób, że każda piędź ziemi wyzyskana jest przez ciąg lata, zapewnia jego właścicielowi zysk bardzo znaczny, mianowicie po miastach lub w ich pobliżu, tylko, że trzeba zawsze mieć pod ręką dostateczną ilość wysadków i nasion odpowiednich, pod dostatkiem mierzwy lub kompostu i uwzględnić należycie następstwo, jak każde warzywo się rozwija i które dojrzewa wcześniej, a które później.

— **Jak sadzić drzewka?** Wiadomo, że dobry wzrost drzewa bardzo zależy od należytego zasadzenia go w ziemi. Wielu mniema, że im głębiej zasadzone drzewo, tem lepiej. Mniemanie to błędne, bo zbyt głęboko osadzony pieniek, to tak samo jak dziecko pieluchami skrępowane, źle rośnie. Dół powinien być głęboki na łokieć, najwięcej na półtora łokcia, a szerokość odpowiednia. Gdy grunt kamienisty, sapowaty, należy nawieść ziemi urodzajnej. Tak osadzone drzewo, rozrośnie się dobrze, oczywiście, jeżeli grunt odpowiedni jest do drzewa.

— **Jak chronić korzonki przed myszami?** Wiele szkody robią te małe zwierzątka w gospodarstwie, a najwięcej bodaj w sadach, bo obgryzają młode korzonki drzew, albo korę z samego pnia. Żeby zapobiedz złemu, litewscy gospodarze oddalają z zimą od pnia drzewka śnieg, żeby przez to głębiej ziemia zamarzła, od mrozu bowiem i myszy muszą ginąć. Żeby zaś myszy nie obgryzały kory z drzewek, ogrodnicy zwykle osmarowują pnie młodych drzew wapnem, zmięszanem z żywicą i naftą. Dla myszy taka maść jest wstrętną i przez to nie gryzą kory.

— **Przechowywanie kartofli na zimę.** Kto nie ma suchej piwnicy, niech kartofle przesypuje warstwą kurzu z ulicy lub pruszem z węgli kamiennych lub rozlasowanem wapnem. Tym sposobem uchroni się kartofle od wpływu wilgoci.

— **Aby zapobiedz** rośnięciu trawy na gankach i oszczędzić sobie pracy wyrywaniem jej, polewa się te miejsca rozczynem z dwudziestu funtów palonego wapna w piędziesięciu lub sześćdziesięciu kwartach wody i 4 funtów siarczanego kwasu, to wszystko musi się chwilę przegotować. Polanie tym płynem wystarczy raz na rok, aby zapobiedz rośnięciu trawy.

— **Aby much** pozbyć się z pokoju, trzeba drzwi i okna pozamykać i wykadzić liśćmi od korbala. Przedmioty, na które muchy nie mają siadać, posmarować trzeba olejkiem laurowym.

— **Gorzkie migdały,** drobno pokrajane i posypane mąką lub cukrem, są dobrem środkiem na zatrucie myszy domowych.

— **Trucizna na szczury.** Małe ugotowane rybki posypuje się równemi częściami cukru, mąki pszennej i arszeniku.

— **Beczki zakwaszone i nieczyste,** czyszczą się bardzo dobrze niegaszonem wapnem. Kilka funtów wapna według wielkości beczki, sypie się do beczki i lasuje stósowną ilością wody, gdy się jeszcze gotuje, szpunduje,

lub przykrywa się beczkę szczelnie, a wszystkie szkodliwe części wsiąkają we wapno. Gdy ostygnie wylać, wypłukać kilka razy beczkę i dobrze jest polać trochę winem lub też sprytem okowity (weingeist). Z nowych beczek zapach drzewa w ten sam sposób usunąć można.

— **Zaopatrzenie okien na zimę.** Kit olejny, jakiego szklarze używają, ukulać w cienkie długie wałeczki, stósowne do szczelin w ramach okna, mniej więcej na grubość ołówka. Wałeczki te kładą się na około ramy przy oknie i łagodnie się zamyka, aby kit według szczelin się uformował. Aby zapobiedz przylgnięciu przy otwieraniu, trzeba przed tem nim się wałeczkiem okno obłoży, takowe pokostem posmarować a z wierzchu wałeczek posypać kredą miałką; w ten sposób przylgnie kit mocno do okna posmarowanego pokostem a kreda nie pozwoli przylgnąć do ramy.

— **Futra,** gdy po kilka miesięcznem leżeniu przez lato są wygniecione, trzeba posypać dobrze zagrzanemi otrębami, wetrzeć takowe we futra i potem wytrzepać.

ROZMAITOŚCI.

* **Winnica pod szkłem w Brzegu na Szląsku.** Płaszczyzna, na której się hoduje wino, obejmuje 5 arów i jest z trzech stron otoczona ścianami ze szkła, podczas gdy od północy zasłania ją ściana z desek. Dach szklany o pojedyńczych oknach płaskich ma bardzo mało spadku. Ogrzewanie tego domu szklanego prawie nigdy nie jest potrzebne, bo wskutek pojedyńczego oszklenia ciepło wewnątrz się zwiększa o 8 do 10 stopni. Wewnątrz dom ten ma 12 żelaznych dubeltowych szpalerów, które równocześnie tworzą rusztowanie do trzymania dachu. Przy tychże szpalerach rośnie 360 krzewów wina rozmaitych gatunków, które w południowych tylko krajach dojrzewają na dworze. Grządki, w których wino rośnie, są 120 cmtr. głębokie i spoczywają na warstwie gruzów o ¼ metra grubości. W tej warstwie gruzów znadują się dreny połączone za pomocą rur prostopadłych z powietrzem i dalej z kominem. Za pomocą tego przyrządu ciepłe powietrze dostaje się do grządek przewietrza takowe i rozgrzewa je. Nawodnienie uskutecznia się za pomocą przyrządu deszczowego, który za otworzeniem tylko jednego kurka tworzy nad krzewami wina całego zakładu równocześnie deszczyk drobny. Na metr pod dachem bowiem, są przytwierdzone nad szpalerami koprowe rury, które co pół metra mają drobne dziurki, z których woda wychodzi i się rozbija o druciane siatki, 25 cmtr. nad rurą przymocowane. Winogrona, gdy dojrzeją, zawierają mniej kwasu, i więcej cukru, niż hodowane nad Renem. Jeden ar wydał 400 litrów wina, które kosztowało hodowcę samego po odtrąceniu wszystkich kosztów (budowy domu, roboty, nawozów i renty gruntowej), 60 fen. za litr. Oprócz tego obrodzenia się wina każdego roku jest pewne a napój co do jakości równa się napojowi z win z krajów południowych a na przypadek pojawienia się filoksery lub innych szkodliwych owadów, grządki w okamgnieniu mogą być zatopione wodą, która owady wyniszczy.

Pomiędzy dwowa krzewami wina, rośnie jeden kierz róży i fasole, z których jest dochód poboczny.

Na koniec to jeszcze zasługuje na uwagę, że przy budowie tego domu zastósowano konstrukcyą z żelaza na wewnątrz a z drzewa na zewnątrz, przez co wprowadza się dużo świeżego powietrza do domu i otrzymuje wysoką temperaturę podczas dojrzewania winogron. Hodowca używa też ogromnej ilości nawozów. Z tego powodu też roślinność tak jest bujna, że jednoroczne gałęzie mają 2 do 4 cmtr. średnicy i 2 do 10 metrów długości i już w pierwszym roku owoc wydają. Taką samą podziwienia godną bujność okazują brzoskwinie, aprykozy i róże.

* **Dług państwowy.** Gdyby rozmaite państwa, chcąc spłacić swe długi, nałożyły podatek na poddanych, wypadłoby na głowę, obliczając we frankach (frank po 80 fen.): w Chinach 9,30, w Liberyi 3, w Szwajcaryi 19,35, w Norwegii 29,40, w Niemczech 35,45, w Japonii 39,85, w Nikaragua 40, w San Salvador 52,70, w Meksyku 54,80, w Boliwii 74, w Szwecyi 74,20, w Gwatemali 75, w Ekwatorze 80, w Kolumbii 80, w Turcyi 80,75, w Stanach Zjednoczonych północno-amerykańskich 89, w południowo afrykańskiej republice 100, w San Domingo 116,70, w Haiti 74,20, w Hawai 120, w Rumunii 130,90, w Danii 135, w Serbii 140, w Chili 146, w Brazylii 219,80, w Kosta Rika 228, we Włoszech 274, w Wenezueli 281, w Grecyi 284, w Austro-Węgrzech 360, w republice argentyńskiej 356, w Parawaju 460,60, w Hiszpanii 440, w Belgii 416,70, w Holandyi 567,40, w Wielkiej Brytanii i Irlandyi 491,70, w Peru 515, w Urugwaju 629,25, w Portugalii 615 i wreszcie we Francyi 834,70.

* **Osobliwa petycya.** Cesarz Franciszek Józef odebrał w tych dniach prośbę od niejakiego Piotra Bati, mieszkańca zapadłego jakiegoś kąta w komitacie Aradu, na Węgrzech. Petent, który jest właścicielem dwudziestu morgów gruntu, prosi cesarza, aby mu pożyczył 10 reńskich, obiecując za rok oddać tę sumę z procentami. Biedny Pati miał w roku bieżącym na swem gospodarstwie same klęski: grad mu wybił część zboża, reszta zaś zginęła na polu od ciągłych deszczów. Cesarz kazał sprawdzić stan majątkowy Bati'ego i przekonawszy się, iż wszystko co tenże wyraził było prawdą, pożyczył mu 10 reńskich, z własnej szkatuły. Obecnie Bati może się pochwalić, iż ma wcale niezwykłego wierzyciela.

* **Spóźnione medale.** Dnia 10-go Października br. były cesarz brazylijski, Dom Pedro, wręczył doktorom Simmola i Charcotowi, oraz hrabiemu Motto-Moia medale na pamiątkę dokonanej przez nich na

osobie cesarza kuracyi. Medale te w chwili obecnej są nadzwyczajnością prawdziwą. Obstalowane bowiem były jeszcze za rządów Dom Pedra, z jednej strony noszą na sobie popiersie cesarza Brazylii, z drugiej zaś napis: „Lud brazylijski ofiaruje dr. X. przez wdzięczność za uratowanie drogocennego życia ukochanego". Tymczasem „wdzięczny lud" pozbył się „ukochanego cesarza", który dopiero w tych dniach odebrał wykończone medale za pośrednictwem akademii nauk w Rio-Janeiro i wręczył je według pierwotnego przeznaczenia.

* **Wywóz herbaty** chińskiej do portów angielgielskich zmniejsza się co rocznie, jak donoszą angielskie pisma fachowe. W roku 1886 herbata przywieziona z państwa chińskiego do Anglii przedstawiała wartość mniej więcej 360 mil. franków, w roku 1890 zaś już tylko 280 milionów. Groźną rywalką herbaty chińskiej w Anglii stała się herbata z Indyi i Borneo, a to z powodów następujących: wywóz z obu tych krain podzwrotnikowych jest wolny, hodowla rośliny staranniejsza, komunikacya między plantatorami i handlarzami bardziej ułatwiona, również łatwiejszym jest transport, wreszcie plantacye są tak wielkie, że umożliwiają zastósowanie pracy maszynowej.

* **Niezwykłe źródło dochodu.** Jakiś były kapitan marynarki w New-Yorku wynalazł niezwykłe źródło dochodów. Oto zakupiwszy sporą ilość okrętów. ogłasza „dla amatorów silnych wrażeń" sztuczne rozbicia okrętów. W dniu oznaczonym, gdy już zgromadzi się odpowiednia, a spora liczba ochotników, grubo płacących za podobnego rodzaju rozrywkę, kapitan wyrusza z portu na pełne morze. Tam po wykonaniu rozmaitych ruchów załogi, mających naśladować zachowanie się marynarzy podczas burzy, ładując do pieca potrójną ilość węgla, podwaja ilość pary w kotle i szybkim biegiem podąża napowrót do portu, gdzie o skalistą ścianę bulwarku gruchocze stare pudło statku. Pasażerowie wpadają do wody, a załoga, złożona z dzielnych pływaków, ratuje ich tak zręcznie, że dotychczas nie zdarzył się jeszcze ani jeden wypadek utonięcia. Prócz tego pomysłowy kapitan nad brzegiem urządził galeryą widzów, którzy również składają mu pewną opłatę.

* **Nowy środek karny** wynaleźli Moskale. Urzędnicy rosyjscy na Syberyi dają więźniom w celu wymuszenia zeznań jako jedyną strawę mocno solone śledzie, a nie dają wody do picia. Jedzenie solonych śledzi ma być okropną męczarnią, gorszą od najcięższych tortur. Więźnia wsadzają do mocno ogrzanej celi i dają mu tylko śledzie. Pragnienie szalone zmusza biedaków nawet do najfałszywszych zeznań, jakich sobie satrapi życzą. Kiedy po długim czasie karmienia śledziami podadzą więźniowi wodę, wtedy dostaje obłędu, febry i niemal pomięszania zmysłów.

* **Beczki z papieru.** Beczki z papieru zaczęto wyrabiać. Mają one być pod niejednym względem lepsze od dębowych. Do fabrykacyi papieru na beczki używają niezwykle włóknistej trawy, rosnącej bardzo obficie pomiędzy Jersey City a Newark. Jeden z przedsiębiorców zbudował maszynę, która przy usłudze dwu ludzi produkuje 600 małych beczek dziennie. Beczki te pociągają lakierem antiseptycznym, który po wyschnięciu nadaje beczce wygląd porcelany; prócz innych zalet, posiadają one także i tę, że łatwo je oczyścić i nie próchnieją tak prędko, jak drewniane.

* **Wobec rozruchów chińskich** ciekawym być może wykaz wojennych okrętów europejskich, znajdujących się na wodach państwa chińskiego. Jest tam tedy obecnie dwadzieścia okrętów angielskich z 139 działami, ośm francuzkich z 53 działami, cztery rosyjskie z 40 działami, trzy portugalskie z 8 działami, dwa hiszpańskie z 22 działami, jeden włoski z 12 działami, sześć amerykańskich z 46 działami — czyli razem 44 okręty i 320 dział. Eskadra niemiecka, znajdująca się dawniej na wodach chińskich, złożona była z pięciu okrętów z 40 działami.

* **Oszczędność francuska.** Dzienniki francuskie podają obliczenie, świadczące w istocie o wielkiej oszczędności i zamożności narodu; francuskie kasy oszczędności posiadają obecnie 3 miliardy 380 milionów wkładek. Posiadaczy książeczek zwykłych kas oszczędności jest 5,539,000 posiadaczy książeczek pocztowych kas oszczędności 1,302,000, czyli razem 8 milionów na 37 milionów mieszkańców. Bogaci ludzie mają papiery kolejowe lub różnych przedsiębiorstw, tylko ubożsi ludzie składają swój grosz małemi wkładkami do kas oszczędności. Na każdego zaś z tych 7 milionów, mających swe pieniądze w kasach oszczędności, wypada średnio po 500 franków blisko, czyli po 410 marek. Kiedyż to my tak zaczniemy oszczędzać!

* **Najbogatszym człowiekiem** na świecie jest teraz John D. Rockefeller w New Yorku, który sam swój majątek ocenia na 129 milionów dolarów. Ogólnie jednak rzeczoznawcy twierdzą, że „wart" on jest 150 milionów dolarów. Roczny dochód tego Krezusa wynosi około 9 milionów dolarów, dzienny 25,000 funtów szterlingów. Zmarły szef domu Vanderbiltów był bogatszy, majątek jego wynosił bowiem 200 milionów dolarów, podzielony jednak został tak między liczną familią, że żaden z Vanderbiltów nie może się mierzyć teraz z Rockefellerem. Jay Gould posiada majątek wartości 50 do 60 milionów dolarów. Po Rockefellerze najbogatszym ma być William Waldor Astor, którego majątek, składający się przeważnie z posiadłości gruntowych w New Yorku, wynosi 100 milionów dolarów. Majątek Rothschildów wynosi wprawdzie daleko więcej, aniżeli 150 milionów dolarów, lecz żaden pojedyńczy członek tej familii nie posiada większego osobistego majątku nad 75 milionów dolarów. W Rockefellerze, sądząc go z jego powierzchności, nie można poznać takiego bogacza. Wygląda on zupełnie niepozornie, raczej jak pastor jaki, co jeszcze więcej się uwydatnia przez jego powolny chód i surowość twarzy. Nie jeździ on wspaniałą karetą, ani uliberowany murzyn nie otwiera podwoi, gdy się go odwiedza w jego wygodnem, lecz nieokazałem pomieszkaniu — przy 54-tej ulicy. Uprzejma dziewczyna, w białym czepeczku i takimże fartuszku spełnia tę czynność i obsługuje przy stole. Od czasu, gdy najstarsza córka wyszła za mąż, za babtyskiego pastora, familia tego Krezusa składa się z żony i dwoch młodszych córek. Ostatnie żyją

bardzo skromnie. Otrzymują od ojca co kwartał po 500 funtów szterlingów. Z tych ubierają się i pokrywają drobne wydatki. Jedna uczy się muzyki, druga języka japońskiego, bo ma zamiar wyjechać jako misyonarka do Japonii. Rockefeller jest dziekanem kościoła babtyskiego, któremu już ofiarował znaczne sumy. Liczy on 52 lat życia, a po jego śmierci majątek podzielony prawdopodobnie zostanie pomiędzy familią i kościół babtyski.

* **Radzca dworu i kogut.** Sędziowie pokoju w Petersburgu mieli niedawno ciekawą sprawę do rozsądzenia. Niejaka pani Afonassiew zaskarżyła sądownie niejakiego radzcę dworu Merosowa wskutek następującego zajścia: pani A. miała koguta, pan M. zaś umie znakomicie piać. Otóż ile razy pan M. spotkał się, a mieszkał w tej samej stronie z kogutem pani A., poczynał piać, co niezmiernie gniewało koguta, który z największą złością odpowiadał aż wreszcie rzucił się na pana M., widocznie biorąc radzcę za swego bliźniego. Radzca broniąc się, uderzył go mocno kijem. Naówczas pani A. zaskarżyła radzcę o pastwienie się nad zwierzętami, utrzymując, że pan M. bez powodu napadł na koguta. W pierwszej instancyi skazano pana M. na 5 dni aresztu. W wyższym jednak trybunale, po rozważeniu bliższem wszystkich okoliczności uwolniono go od kary.

* **Papier ogniotrwały.** Chcąc zapobiedz temu, aby się jaki papier ważny nie spalił, należy go przed opisaniem zamoczyć w rozczynie ałunu, a gdy dobrze wyschnie, dopiero na nim pisać. Gorsze gatunki papieru trzeba dwa razy zmoczyć.

* **Zbrudzone kołnierze surduta** czyści się najlepiej eterem siarczanym, benzyną lub spirytusem salmiakowym (salmiak‿eist). Trzeba najprzód pomaczać zbrudzone miejsce, potem wziąć kawałek czystego wełnianego sukna i trzeć zmaczane miejsce, a plamy prędko znikną.

* **Posiadłości europejskie w Afryce.** Pismo „Mouvement geografigne“ podaje następujące zestawienie terytoryalne rozmaitych europejskich plemion:

Francya ma	5,956,914	□ kilometrów.
Anglia	4,170,174	„
Niemcy	2,720,000	„
Belgia	2,491,000	„
Portugalia	2,265,945	„
Turcya	1,000,000	„
Włochy	936,000	„
Hiszpania	519,000	„

* **Zajadłość pszczół.** We wsi Castelnau w południowej Francyi, w pewnej wsi rój pszczół wybrał sobie mieszkanie w oknie i oparł swe komórki pomiędzy okienicą i ramą. Przez trzy lata nie brano miodu z tego ula i ilość jego zarówno jak i wosku zebrała się bardzo znaczna. Nagle pewnego dnia po południu, gdy podczas wielkiego gorąca, cała ta ilość wosku i miodu zawaliła się i spadła na ziemię, wtedy rozwścieczone pszczoły rzuciły się całą masą na pasące się na dziedzińcu stado gąsiąt, które wskutek straszliwych ukłuć wkrótce wszystkie padły nieżywe. Charakterystyczny szczegół, iż nie znaleziono u nich następnie śladu oczu. Lecz nie na tem koniec zemsty złośliwych pszczół. Właścicielka gospodarstwa, pragnąc obronić gąsięta, została żądłami tak pokłutą, iż życiu jej czas jakiś zagrażało niebezpieczeństwo. Kury i kurczęta, ścigane przez pszczoły, rozbiegły się po całej okolicy i wiele z nich nie powróciło, inne znaleziono nieżywemi. Świnia została również na śmierć zakłutą. Roznamiętnione walką pszczoły wtargnęły do obory i zaatakowały bydło. Kilka sztuk zdołało zerwać powrozy i uciec, gdy nakoniec nadbiegł właściciel gospodarstwa i jakkolwiek mocno skłuty, zdołał odwiązać resztę krów, które natychmiast rozbiegły się po polach. Odszukano je dopiero następnego rana. Rój małych złośliwców, poczyniwszy tyle szkód, odleciał nie wiadomo dokąd, poszukując zapewne nowego pomieszczenia.

* **Największe miasta** w północnej Ameryce są: New-York 1,514,000 mieszkańców. Chicago 1,098,600. Filadelfia 1,045,000. Brooklyn 805,000. St. Louis 461,000. Boston 447,000. Baltimore 434,000. Sank-Francisko 298,000. Cincinati 297,000. Cleveland 262,000 Buffalo 255,000.

* **Zielone i niebieskie róże** wychował podobno jakiś ogrodnik w Buenos-Ayres. Tak przynajmniej zapewniają dzienniki południowo-amerykańskie. Niebieskie róże otrzymał on przez polewanie w ciągu zimy róż białych rozczynem kwasu pruskiego, zielone zaś przez podobne wystawienie róż białych na działanie siarczanu miedziowego.

* **Najwięcej rozpowszechnionym językiem** jest chiński; mówi nim 400 milionów ludzi. Potem język Hindów 100 mil. Angielskim około 100 milionów. Ruskim około 73 milionów. Niemieckim 58 milionów. Hiszpańskim 48 milionów. Francuskim 47 milionów.

* **Gdy żydów w Rosyi** miano zamiar brać do wojska, starali się uprosić ministra różnemi sposobami, aby na radzie senatu wniosku tego nie popierał. Po bezskutecznych prośbach zgłosił się do ministra w tym interesie bankier, który oświadczył, że ma do powiedzenia dwa wyrazy.

— Jeżeli usłyszę nie więcej, tylko dwa wyrazy, prośbie twojej uczynię zadość — powiedział minister.

Żyd wyjął z kieszeni milion rubli, podał je ministrowi i rzekł z ukłonem:

— Bierz! Milcz!

Następnego dnia na radzie senatu, minister milczał, a projekt brania żydów do wojska przepadł.

FRASZKI.

PROSTSZY SPOSÓB.

Chłop: Panie adwokacie, co muszę zapłacić, gdy komu dam policzek?

Adwokat: Rozmaicie — aż do 20 marek!

Chłop (kładąc na stół 20 m.): Tu są pieniądze.

Adwokat: A czyście już na karę skazani zostali?

Chłop: Nie, ale memu sąsiadowi dam na pewno w twarz; więc wolę zaraz pieniądze złożyć, abym gwoli zapłaty nie potrzebował znowu do miasta przyjeżdżać.

W KANTORZE BANKIERSKIM.

Bankier: Leosz, o czem sobie tak zamiszlołeś?

Buchalter: O znikające duchy.

Bankier: Oj! oj! żebyś ty mi czasem nie zniknol.

NIETRAFNE PORÓWNANIE.

Pan: Ach, jakiż mam dziś straszny ból głowy!

Służący: A ja mam ból brzucha.

Pan: Bezczelny! Jakże możesz porównywać swój brzuch z moją głową!

DWUZNACZNIKI.

A.: Pan jesteś osłem, durniem, oszustem...

B.: Za pozwoleniem, mój panie; ja sobie wypraszam wszelkie dwuznaczniki.

Dwóch ludzi spotkało się na wąskim zaułku i żaden nie chciał drugiemu ustąpić z drogi. Jeden z nich rzekł uparcie:

— Ja nigdy głupcowi nie ustępuję z drogi!

— A ja chętnie — odpowiedział drugi, usuwając się z grzecznym ukłonem.

SŁUSZNIE.

Pan (do kataryniarza): Idźcie dalej; za taką muzykę ja nie płacę.

Kataryniarz: Za muzykę nie chcę zapłaty, tylko za kręcenie katarynki.

NIE SZKODZI.

Ojciec (do syna): Nie chódź się dziś kąpać, boś się skarżył na ból brzucha, to się zaziębisz.

Synek: Ach, niech tatka pozwoli! Ja będę pływał na plecach.

ZADOWOLONY.

Pijak: Co tam bogactwo! Kpię sobie z niego! Więcej pijanym, niż ja jestem, nie może być nawet milioner!

NIE ROZUMIE.

Lekarz: Kobieto! Jakże możecie w taki mróz z dzieckiem wychodzić na przechadzkę?

Piastunka: Ach, panie doktorze, co tam taki berbeć rozumie o temperaturze!

Z MIŁOŚCI BLIŹNIEGO.

A.: Co? Julek się ożenił z nieznośną panną Franciszką?

B.: Tak jest; uczynił to jednak tylko z miłości bliźniego.

A.: Jak to?

B.: Tylko dla tego, aby innych przed jej złością zachować.

NIE WINIEN.

Sędzia (do oskarżonego): Nie wstydzisz ty się? Dla nędznych 3 marek byłbyś człowieka prawie zabił?

Oskarżony: A bom ja winien, że nie miał więcej przy sobie!

NOWINA.

— Czy słyszałeś, że wczoraj policyant pannę młodą od ołtarza zabrał?

— Dlaczego?

— Bo się z nią ożenił.

POZNAŁ SIĘ.

Porucznik: Łaskawy panie! Bardzo się cieszę, że mam szczęście poznać pana, o którego zacności tyle dobrego słyszałem. Jestem bardzo szczęśliwy, poszczycić się znajomością obywatela tak wielkich zasług, znanego w społeczeństwie z rozlicznych prac dokonanych, dobrodzieja łaknącej ludzkości i...

Bankier (przerywając): Za pozwoleniem! Ile pan chce odemnie pożyczyć?

TRAFIŁ.

— Mój panie! Jeżeli pan myślisz, że możesz widzieć wemnie osła, to panu powiadam, żeś pan trafił na swego.

BIEDACZKA.

— Ach, jakiego to ja mam męża! Co dzień muszę mu przynosić butelkę gorzałki. I gdybym sama trzy części jej nie wypiła, a w butelkę wody nie nalała, toby mi się upił co dzień. Biednam ja kobieta!

OSTRÓŻNY.

A.: Powiedz mi, czy Cypryan to porządny człowiek?

B.: Nie wiem; jeszczem go z tej strony nie poznał.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Nakładem Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Sz.

wyszły następujące książki:

Zywot św. Alojzego (z ryciną tegoż świętego). Cena 15 fen. z przesyłką 18 fen. 50 egz. za 7 mrk. franko, 100 egzemplarzy za 13,50 mrk. franko.

Żywot św. Stanisława Kostki (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Żywoty ś. Jadwigi, bł. Kunegundy, Jolenty, Salomei, (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Wykaz przyjęcia do bractwa trzeźwości 10 fen., z przes. 13 fen. (100 egz. 4,50 m. fr.)

Cudowne przeniesienie Domku N. M. Panny z Nazaretu do Loretu, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Rachunek sumienia czyli Przygotowanie do pierwszej spowiedzi świętej 5 fen., z przesyłką 8 fen. (100 egzempl. 4,50 m. franko.)

Litania do Przenajśw. Serca P. Jezusa 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Pieśni kalwaryjskie, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Modlitwa przez Stolicę Apostolską nakazana, 2 fen., z przes. 5 fen. (100 egzempl. 1,70 m. franko).

Modlitwa do św. Józefa (po polsku i po niemiecku), 2 fen., z przesyłką 5 fen. (100 egzempl. 1,70 mk. franko).

Chrześciański paszport na całe życie. Pamiątka pierwszej Komunii św. (dla młodzieńców. Cena 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egzempl. 4,50 m. franko.)

Pamiątka pierwszej Komunii św., zawierająca treść głównych zasad wiary, sposób słuchania Mszy św., oraz naukę o Najświętszym Sakramencie. Cena 20 fen., z przesyłką 23 fen. (50 egz. 9 m. franko.)

Andenken an die Erste heilige Kommunion, enthaltend die wichtigsten Glaubenswahrheiten, eine Anleitung zum andächtigen Beiwohnen der heil. Messe, sowie die Lehre vom allerheilig. Altarssakramente. Cena 20 fen., z przes. 23 fen. (50 egz. 9 m. franko).

Dobry Katolik w protestanckich okolicach. Cena 10 fen., z przesyłką 13 fen. (100 egz. 6 m., 500 egz. 25 m., 1000 egz. 45 m.

Walka przeciw gorzałce 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Elementarz polski 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Złota książeczka dla dziewic chrześciańskich, 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Złota książeczka dla młodzieńców chrześciańskich, 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Przewodnik dla robotnic, 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Modlitwy jakie kapłan przy Mszy św. odmawia. Cena egzempl. 15 fen., z przesyłką 18 fen.

O przyzwoitości chrześcijańskiej. Nauka dla wszystkich stanów, mianowicie dla młodzieży. — Cena egzempl. 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Stary kościół Miechowski, obrazek obyczajów wiejskich na G.-Szląsku napisał ks. Norbert Bontzek. Wydanie drugie z dodatkiem. Cena 75 fenyg., z przes. 85 fen.

Wilk socyaldemokracki albo Panowanie, podług urojeń socyaldemokrackich. Cena książeczki o przeszło 40 stronach druku, wynosi 15 fen. z przesyłką 18 fen.

Z pobytu w Bośni. Wrażenia, obrazki i szkice skreśliła Marya z Seredyńskich Jakubowska. Cena 70 fen. z przesyłką 80 fen.

Obrona Wiednia czyli Niemieckiego Państwa i Chrześciaństwa przez Jana Sobieskiego, Króla Polskiego 12-go września 1683-go roku. Na pamiątkę 200-letniej rocznicy skreślił dla braci Szlązaków Juliusz Ligoń. Cena z przes. 20 fen.

Koszyk Jabłek. Legenda o św. Janie Kantym (z ryciną). 25 fen. z przesyłką 28 fen.

Szczęście na wsi. Powieść ks. A. Łukaszkiewicza. Cena egz. 65 fen., z przes. 75 fen.

Wierna Rózia czyli zwycięstwo wiary katolickiej. Powieść z obecnego czasu, tłómaczył Karól Miarka. Cena egzempl. brosz. 60 fen., z oprawą 85 fen. Na portoryum uprasza się dołączyć 10 fen.

Ze zdrowego pnia napisał X. Stan. Kostka 50 fen., z przes. 55 fen.

Kto winien? napisał X. Stan. Kostka 40 fen., z przes. 45 fen.

Walka o byt i walka o cnotę napisał X. Jan *** Cena 55 fen. franko.

Masoni czyli wolnomularze. Odbitka z „Światła." Cena 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Wianek najuciezniejszych anegdot i fraszek dla śmiechu i zabawy, ale i dla pouczenia. Cena 35 fen., z przes. 38 fen.

Całe życie figlarz czyli żywot najuciezniejsz. człowieka. Cena 15 fen., z przesyłką 18 fen.

Wesoły bajarz czyli zbiór najuciezniejszych powiastek. Cena 15 fen., z przesyłką 18 fen.

Skowronek, zbiór pieśni rólniczych, poważnych, żartobliwych 10 fen., z przesyłką 13 fen.

Pieśni Polskie używane na Górnym Szląsku. Cena zeszytu 20 fen. Zeszyt I-szy, II-gi i III-ci kosztuje z przesyłką franko 60 fen.

Pieniądze trzeba nadsyłać naprzód. Należytość aż do 3 marek można także w znaczkach pocztowych przesyłać. — Kto zakupi za gotówkę za 3 marki naraz, otrzyma przesyłkę franko. — Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika" w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

ZAGADKA.

Pierwsza i druga więźniom jest znana,
Pierwszą z trzecią pijem z rana,
Zaś druga, czwarta boli zadana!
Przebieżcie myślą pustynię największą [w świecie,
A całość tam łatwo znajdziecie.

Rozwiązanie zagadki

z zeszytu 10-go:

ZAMEK.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Tadzio Stark z Oporowa; Antoni Sieroń z Rudy.